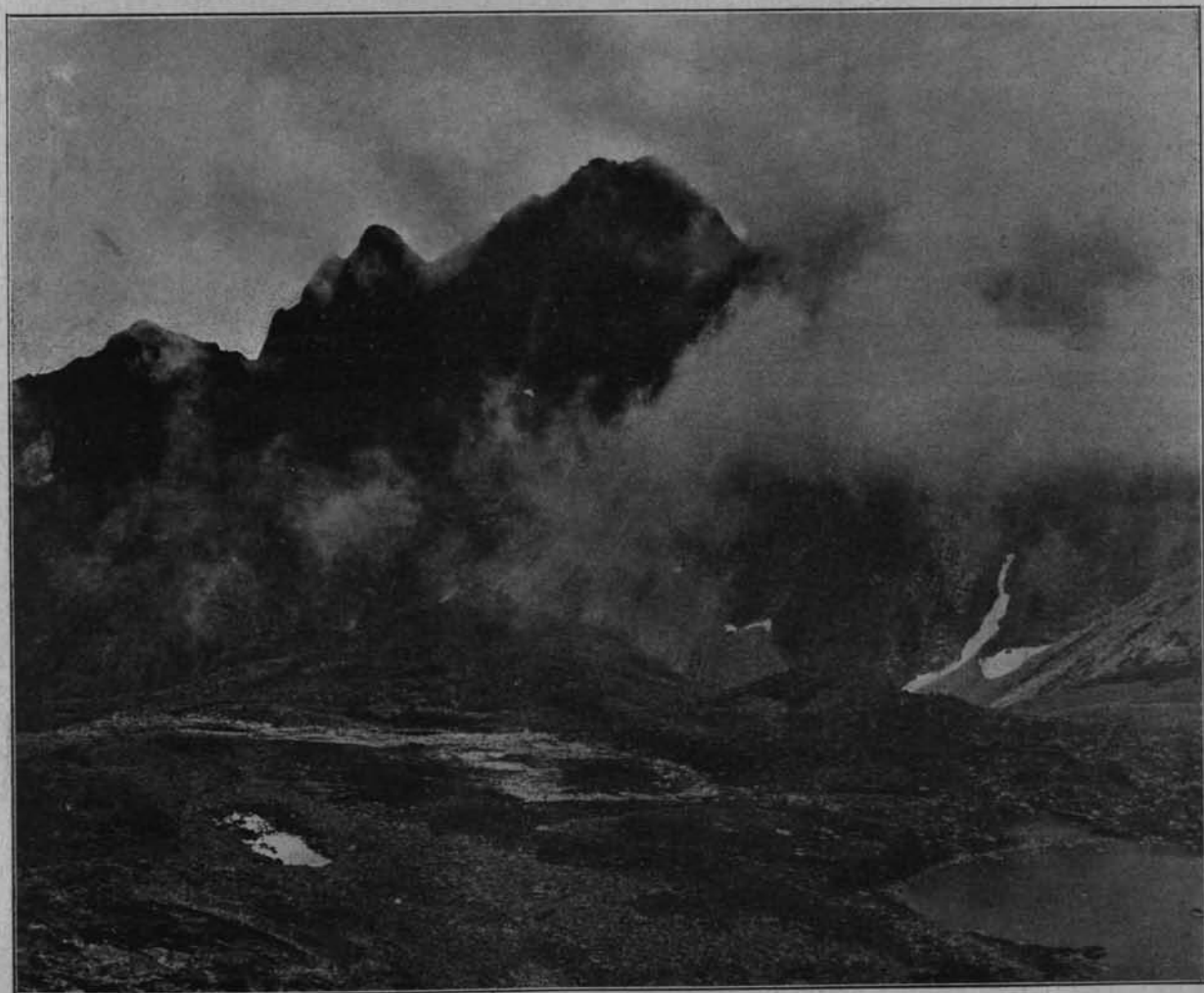




„SUCHE MGŁY” (SZATAN I BASZTY Z NAD STAWÓW HINCZOWYCH).

fol. J. Lande.

Szkic fizyograficzny Tatr.

Tatry—jak wszystkie góry wogóle — były zawsze czemś groźnym, dziwnym dla swego otoczenia. Odkąd mamy wiadomości o nich — człowiek chodził z lekkim dreszczem grozy po nieprzebytych gąszczach i nie często zapuszczał się w głąb ziejących przepaści. Gdy z ich wnętrza wrócił szczęśliwie, rosły w jego opowiadaniu przebyte trudy i rozchodziły się w coraz szersze kręgi, potęgując grozę, jaką i bez tego budziły te góry. Czapka chmur, która je tak często otaczała i otacza do dziś, była wówczas jakby symbolem; w wyobraźni człowieka snuły się o nich same dziwy; gorączkowe sny o nadludzkich mocach, co się kryją w ich wnętrzu — trapiły i podniecały najśmielszych. Ale jak oko nie przebijało chmur, tak wdarcie się choćby najdzielniejszych ale jednak bardzo nielicznych jednostek nie mogło zedrzyć zasłony tajemniczości z niedostępnego wnętrza. Tak rosła legenda Tatr a jej urok ciągnął ku sobie jak magnes co najzuchwalsze jednostki społeczeństwa.

Długie było panowanie tego świata cudów, baśni nad umysłem człowieka, ale nieznacznie musiało się i ono przerodzić. Idący wciąż naprzód rozwój życia społecznego rozwiewał bańki mydlane, ale siła przyciągająca Tatr nie malała, owszem rosła. Człowiek począł szukać skarbów w łonie gór. Nieznaczne, choćby minimalne powodzenie dawało pochop do tem większych wysiłków i wnet prywatne poszukiwania wywołały gorączkę złota, którą zaraziły się nawet rządy. Niepowodzenia skutkiem różnych powodów nie zachwiała robotami na długo. Wciąż żywa fantazja pchała do nowych odkryć i nowych robót górniczo-hutniczych, ale niestety i to musiało się skończyć. Po robotach pozostały wprawdzie do dziś zaledwie ślady w górach, ale zato na zawsze zostało doświadczenie, zwiększyła się faktyczna znajomość tego dziwnego zakątka.

Jakoś tak się szczęśliwie złożyło, że z chwilą zamarcia na zawsze górnictwa starego typu zeszedł się początek okresu badań nad Alpami i górami w ogóle. O Tatrach nie zapomniano; ich przyroda nęciła coraz bardziej i bardziej. I tak działa i dzieje się ciekawa rzecz: urok tych wspaniałych gór opętał dzisiejszego człowieka tylu niemi i tak mocno, jak nigdy przedtem człowiek nie był opętany. Minął wprawdzie nieodżałowany czas absolutnie nietkniętej przyrody i nic go nam zwrócić nie zdoła, mi-

nęła żądza złota — i dobrze, że minęła tak rychło, bo przynajmniej nie zdołano zeszpeciść tego, co jest piękne — a mimo to trwa moc przyciągająca tych gór. Zmienia się, wciąż przesuwa jej podstawa, bo pędzące naprzód życie zmusza do tworzenia coraz do nowych kategorii wartości, ale życie samo zmiata wartości mizerne, nieistotne. To, co dziś jest mocą tych gór potężnych, co było nią od onej chwili, kiedy pierwszy człowiek wdarł się w tę świątynię przyrody, to jest piękno i wielkość gór i niegasnąca nigdy żądza wiedzy, którą góry podniecają i zaspakajają w nadzwyczajnym stopniu.

Żadzę wiedzy może przyrodnik w Tatrach zaspakajać do woli. Ongi, przed tysiącem lat, góry wymagały od wszystkich, co się w nie wdzielali, ogromnego haraczu. Jednak systematyczna praca niszczycielska, która od owych odległych wieków trwa nieustannie i doprowadza do t. zw. ucywilizowania gór, — zmniejsza coraz bardziej wysokość tego haraczu, czyni coraz łatwiejszym dostęp w głąb. To oczywiście zmniejsza zadowolenie z punktu widzenia turysty, ale niewyładowany nadmiar energii służy badaniom. A góry mają to do siebie, że nie nużą: wielkość i różnorodność wrażeń odmładza wciąż. Tak więc ogólnie rosnąca w ludzkości potrzeba wyjaśnienia ostatecznych zagadek bytu znajduje dla pewnego swego działu właśnie w górach najlepszy teren pracy.

Mamy na nasze ogromne terytorium jedne takie góry jak Tatry. Ciągnęli zaś do nich, jako do gór w ogóle — badacze z całej niemal Europy. Nie pozostawialiśmy bardzo w tyle za innymi, czasem nawet przodowaliśmy, aż w końcu stało się, iż Tatry są najbardziej badanym, ale jednak jeszcze nie najlepiej zbadanym zakątkiem Polski. Że okolice wielu miast, a nawet całe powiaty są lepiej zbadane pod względem przyrodniczym niż Tatry, to wynika z wielości i zawłości problemów, z którymi się w tych górach spotykamy: żaden inny kawał ziemi naszej nie przedstawia takiego bogactwa przyrody, tylu przedziwnych zjawisk, nigdzie indziej nie spotykanych, tylu zagadek, gdzie indziej nie dających się rozwiązać.

Nic więc dziwnego, że bilans pracy ogólnej, włożonej przez wszystkich badaczy w Tatry, będąc na ogół bardzo pokąznym — jest jednak nie duży w stosunku do problemów. Gdy zaś dzisiaj — rzeczby można w okresie poczy-

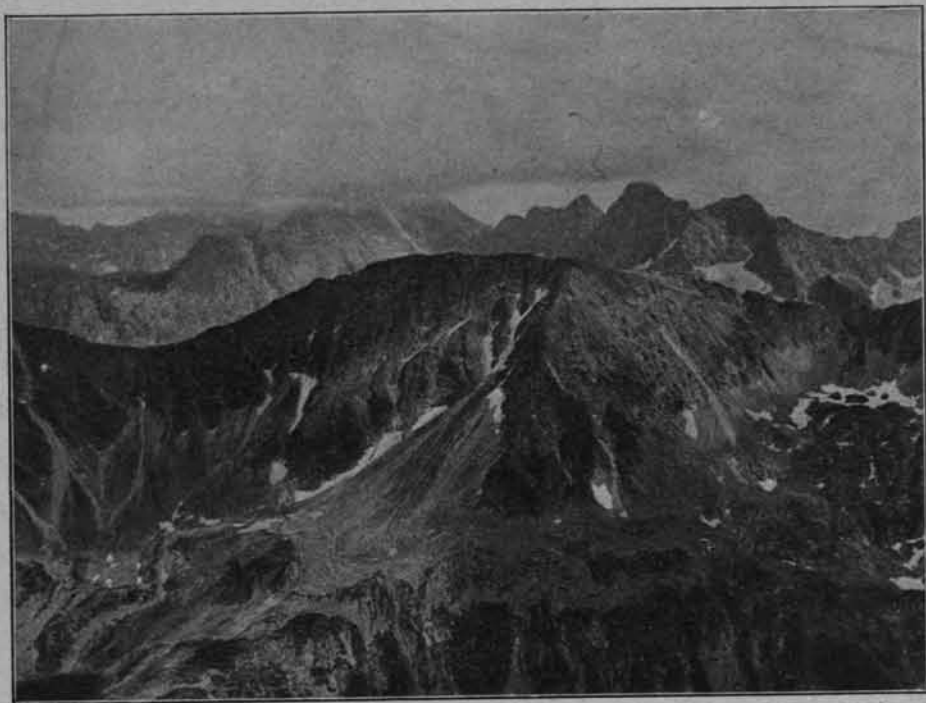
jącego się renesansu fizyografii w Polsce—zważymy nasz udział w pracy ogólnej, to okaże się, że bardzo nierówną ale jednak poważną pracą przyczyniliśmy się do znajomości naszych gór.

Jeśli od „fizyografii“ będziemy żądali opisu danego obszaru ziemi pod każdym względem dokładnego i dostatecznego i—co ważniejsza—wyjaśnienia związku genetycznego, wzajemnej zależności zjawisk od siebie, to takiego obrazu fizyografii Tatr dziś uzyskać niepodobna.

Ważne rozdziały tego opisu mogą być raczej spisem tego, czego nie wiemy a co wiedzieć powinniśmy, bo wiemy to o Alpach i tylu innych górach Europy i Ameryki. W innych znowu rozdziałach tylko pewne ich części są znane, inne zaniedbane lub nieuwzględnione wcale. Rzecz prosta, że wyjaśnienie wzajemnych stosunków między zjawiskami musi być bardzo niedokładne, oparte na analogii z innymi górami albo nawet na tak zw. „zdrowym rozsądku“ zamiast na faktycznym materiale naukowym. Każdy więc obraz fizyograficzny Tatr musi być z konieczności niedokładny. Ale gdyby nawet mógł być pełnym, najlepszym pod względem treści i formy, to nigdy nie zastąpi wrażeń osobistych, zetknięcia się bezpośredniego z przyrodą. Jedna kilkudniowa wycieczka w te cudowne góry daje taką moc wrażeń, tyle osobistych przeżyć, że niepodobna się kusić o odtwarzanie tych stanów psychicznych. Nie zmniejszają się one, gdy patrzeniu na przyrodę towarzyszy choćby tylko częściowe zrozumienie tego, co się dokoiła nas dzieje, albo choćby tylko samo przeświadczenie, że wogóle coś dokoiła nas się dzieje, że patrzymy na jakiś ogromny mechanizm, na przejawy życia globu ziemskiego od jego zamierzonych początków aż do dziś—w ciągu minut zaledwie.

*

Tatry, choć są jednostką same dla siebie, choć są wybitną całością, odrębną od wszy-



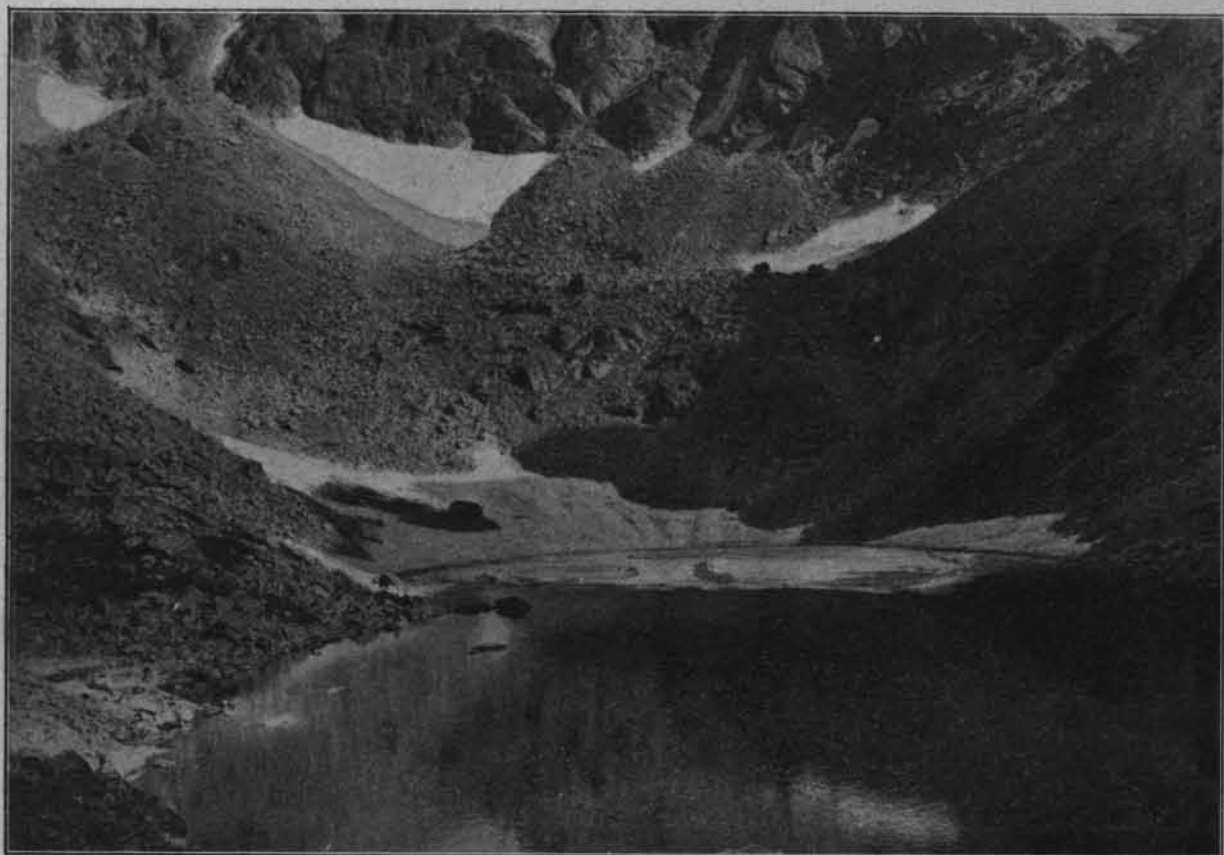
WIDOK Z ORLEJ PERCI NA DOLINĘ PIĘCIU STAWÓW POLSKICH.

fol. J. Jaroszyński.

stkiego, co je otacza, należą przecie do jednego ogromnego systemu górskiego: do Karpat. Ta ich przynależność wyraża się wielokrotnie, w różny sposób: ich długość i szerokość jest znikoma w porównaniu z długością i szerokością Karpat. Ich powierzchnia stanowi zaledwie $\frac{1}{26}$ część powierzchni tamtych. Europejski dział wodny przekracza Tatry w poprzek, biegnąc w części środkowej niskimi szczytami, zostawiając najwyższe na wschodzie i na zachodzie; stosunki geologiczne podobne są do kilku innych trzonów wewnętrznych karpackich.

Te i kilka mniejszych szczegółów zaznacza łączność i przynależność Tatr do Karpat, jednakże w całym tym łańcuchu niema innych gór o tak wybitnym indywidualizmie. Są więc przede wszystkim najwyższe w całych Karpatach i są najlepszym typem pewnej charakterystycznej budowy geologicznej. Te dwie okoliczności wraz z pewnymi szczegółami orograficznego otoczenia uczyniły z Tatr grupę panującą w Karpatach. Dzięki nim leżą w Tatrach źródła dwu potężnych rzek, dzięki nim przebywały te góry jeszcze tak niedawno fazy zlodowacenia i mają dziś pod względem morfologicznym, meteorologicznym, florystycznym i faunistycznym tak odrębną, swoistą fizyognomię.

Rozpatrywane na dobrej mapie oro—i hydrograficznej przedstawiają wybitny podłużny guz pośród Karpat zachodnich. Wrażenie potęguje okoliczność, iż są dokoła otoczone zna-



ZMARZŁY STAW POD POLSKIM GRZEBIENIEM.

fol. J. Lande.

cznemi zagłębieniami terenu, a zewnętrzne, nawet najwyższe krawędzie tych zagłębień przewyższają najmniej o kilkaset metrów. Dlatego to są widzialne prawie z całej wyżyny małopolskiej.

Na północy okala Tatry dolina Nowotarska jako długie, niesymetryczne koryto, odwodnione ku wschodowi przez Dunajec, ku zachodowi przez Orawę. Między źródłiskami tych rzek biegnie europejski dział wód, zaznaczony w terenie nader łagodnym wzniesieniem, zaledwie dostrzegalnym. Pokrywają je moczarowate torfowiska, t. zw. „pustacie“ orawsko-nowotarskie. Obie rzeki zrazu nieznacznie, potem coraz szybciej obniżają swój poziom dna i obie po pewnym czasie wpadają w jary, wijąc i przerywając się wązkim korytem wśród wysokich ścian skalnych. Dunajec przerywa słynne z pięknych widoków Pieniny.

Dolina Nowotarska ma zbocze północne strome krótkie. Najlepiej i naocznie można to ocenić, gdy się koleją zjeżdża z przełęczy Sieniawskiej albo furką z Obidowy ku Nowemu Targowi. Zbocze południowe jest łagodne i ma krawędź przeciętnie niższą. Jest nią poprzerwany dolinami Orawicy, obu Dunajców i Białki grzbiet, zw. Gubałowskim wzniesieniem. Jego

przedłużeniem poza Białkę ku wschodowi jest Spiska Magura, stanowiąca już oddzielną grupkę gór, a łącząca się z Tatrami przełęczą Żdzarską. Z tej przełęczy schodzimy w dolinę Spisko-Liptowską, ograniczającą Tatry od wschodu i południa. Europejski dział wód, zeszedłszy z Furkota na jezioro Szczyrbskie w tę dolinę, dzieli ją na część bałtycką i czarnomorską. Ku Bałtykowi odpływa Poprad, aby się po obejściu Pienin połączyć z Dunajcem, w kierunku zaś wprost przeciwnym t. j. na zachód odpływa Wag do Dunaju. Dział wodny jest jak w tamtej tak i w tej dolinie łagodnym, ledwo dostrzegalnym wzniesieniem.

Przedłużeniem północno-wschodniem Tatr jest Spiska Magura, pasmo niższe od najwyższych szczytów Tatr o 1000 do 1500 m., przedłużeniem zachodniem zaś jest pasmo Choczu, niższe o kilkaset m. od najwyższych krańców szczytów Tatr zachodnich.

Uderza bardzo asymetria północnego i południowego zbocza Tatr: jedno jest ogromnie strome bo zewnętrzne szczyty bezpośrednio graniczą z doliną, gdy tamto jest znacznie łagodniejsze, albowiem szereg schodkowato obniżających się szczytów dochodzi aż do tak zw.



rowu podtatrzańskiego, który te niskie, lesiste szczyty, tak zw. regle, oddziela od Gubałowskiego wzniesienia.

Tak w przyrodzie—gdy zdala patrzymy na Tatry—jak i na mapie rzuca się w oczy znaczna różnica między Tatrami wschodnimi a zachodnimi. W stosunkach hipsometrycznych wyraża się ona tem, że Tatry wschodnie albo wysokie mają, poczynając od Krywania, szereg szczytów wychodzących ponad 2500 m., że na przełęczach i niższych szczytach wahają się około 2300 m., że mają punkt kulminacyjny 2663 m. w szczycie Gierlachu. Tatry zachodnie — pomijając zupełnie inną fizyognomię — mają szczyty najwyższe pomiędzy 2100 a 2200 m., przełęczami zaś schodzą do 1800 i niżej.

Trzon Tatr t. j. szczyty, granie i grzbiety, stanowiące głównie o wyglądzie tych gór, zbudowane są z granitu. Normalny, szarozielonkawy granit np. z Koszystej składa się z 60% oligoklazu, 20% kwarcu, 14% biotyty, 5% ortoklazu, tudzież apatyty, cyrkonu, rutylu, tlenków żelaza. Jest to zatem utwór z pogranicza granitów i dyorytów, bogaty w wapień i sól, różniący się tem od granitu sudeckiego i wołyńskiego. Niektóre partye, nawet dość znaczne, są jednak odmiennego typu. Granit np. z Kościelca, leżący w ogromnych bryłach przy ścieżce do Czarnego Stawu na Hali Gąsienicowej, ma ogromne kryształy różowego lub ceglasto czerwonego ortoklazu; wiele żył wśród granitów zawiera też ortoklaz w przewodzie a prócz tego granaty, turmaliny etc.

Prócz granitu mamy inne skały krystaliczne, a więc: gnejsy, amfibolity, łupki mikowe i t. d., które jednak tylko w zachodnich Tatrach leżą w znacznej masie na południu, stanowiąc jakby przeciwagę skał osadowych na północy od granitów.

Te skały osadowe ciągną się szerokim pasem po stronie północnej wzdłuż całych Tatr. Są to przede wszystkim wapień i dolomity,

potem wszelkiego typu margle, łupki, piaskowce, zlepieńce, rogowce i t. d., które należą do formacji od permu po trzeciorzędu. Ich szczegółową budowę i przeszłość zajmujemy się później.

Granit i wszystkie inne skały krystaliczne i osadowe związane są ze sobą pewnem ugrupowaniem w następstwie czasowem i pewną budową geologiczną, a potem jako już gotowy gmach tektoniczny jeszcze długą wspólną historią geologiczną. Rzeźba dzisiejszej powierzchni jest zatem wynikiem długotrwałej walki czynników klimatycznych i wszystkich innych z własnościami petrograficznymi skał o długiej, urozmaiconej przeszłości. Dzisiejszym najgrubszym wyrazem tego ustosunkowania jest hydrografia. Cztery duże rzeki t. j. Dunajec, Poprad, Wag i Orawa mają w Tatrach swoje źródła i zasilane są ogromną ilością drobnych i dużych potoków, które wypływają z wnętrza gór.

Nawodnienie jest w Tatrach tak obfite jak w żadnej innej partyi Karpat. Wszystkie doliny mają swoje strugi wodne, które na północnej stronie Tatr łączą się w długie silne strumienie, na południowej tworzą krótkie, w licznych kaskadach spadające potoki. Wypływają one albo ze stawów albo ze źródeł wszystkich możliwych typów. Zbiornikiem dla źródeł są albo strzaskane, zwietrzałe partye skał, albo w pewien sposób ułożone skały przepuszczalne nad nieprzepuszczalnymi, albo też są to źródła krasowe, a więc wypływające z terenów prze-



fol. ze zbiorów prof. St. Sokolowskiego.

PIARGI W HRUBYM.



DOLINA PIĘCIU STAWÓW POLSKICH Z GŁADKIEJ PRZELĘCZY.

fot. ze zb. firmy „Tatry”.

puszczalnych, ale tylko w zależności od tektoniki i morfologii, a wreszcie są i źródła artezyjskie. Jeśli potok bierze początek ze stawu, to najczęściej kilka stawów położonych jeden nad drugim albo też staw i jeden lub kilka moczarów łączy się razem i z najniższego wypływa już gotowy strumień.

Obok licznych potoków mamy w Tatrach moc jezior, położonych najczęściej między 1400 m. a 2000 m. wysokości, a mających dla tych gór nadzwyczajne znaczenie krajobrazowe. Wszystkie bez wyjątku są pochodzenia lodowcowego, na co wskazuje całe otoczenie i charakterystyczna budowa ich wanień, głębszych z reguły ku wnętrzu gór. Ilość potoków i jezior jest większa w Tatrach wschodnich niż zachodnich, co oczywiście zwiększa jeszcze kontrast między jedną a drugą połową gór. Najważniejszym wyrazem tego kontrastu jest jednak rzeźba powierzchni. Jest ona — jak już zaznaczono — wynikiem długich procesów geologicznych i może być wyjaśniona dopiero po ich wyjaśnieniu. Nie uwzględniając na razie przeszłości, możemy jednak opisać najważniejsze cechy tej rzeźby. A więc w całych Tatrach uderzają najbardziej: przekrój podłużny i poprzeczny dolin, kształt zboczy, grzbietów i wierzchów, tudzież sposób

wietrzenia skał. Doliny mają spadek nierówny, poprzerany progami skalnymi, po których woda spada w kaskadach; nierzadko spadek jest nawet odwrócony, a wtedy w zagłębieniu mamy staw lub jezioro. Górny koniec jest bardzo często obszernym kotłem skalnym. Przekrój poprzeczny jest podobny do litery U; tylko wyjątkowo w dolinach nielodowcowych, czysto erozyjnego pochodzenia, ma kształt litery V lub jest wązkim jarem o wysokich, zupełnie stromych ścianach skalnych (najczęściej w wapieniach, np. dol. Kościeliska). Nierzadko w dolinach lodowcowych spotykamy moreny w kształcie podkowy, zamykające dolinę lub ciągnące się po zboczach w dół. Są to moreny czołowe i boczne, pozostałe po dawnych lodowcach, zamykające nieraz jezioro. Morskie oko zamknięte jest moreną czołową, Czarny staw w dol. Kościeliskiej leży między dwiema bocznymi. Zbocza dolin, im bliżej górnego końca, tem bardziej są pokryte gruzem skalnym, tak zw. piargiem. Sterczące nad doliną strome ściany skalne wietrzeją skutkiem różnic temperatury, wilgoci itd. i rozsypując się, zasiewają zbocza i dno płaszczem piargu — piarzyskiem. Najczęściej dzieje się tak, że piarg spada żłebem i tworzy u spodu stożek nasypowy a gęsto obok siebie poło-



zone stożki łączą się później w jednostajne piarżysko. Grzbiety są już inne w zachodniej a inne we wschodniej części Tatr. Na zachodzie są w ogromnie przeważającej części okrągłe i porośły oddawna trawą, na wschodzie zaś są skaliste, ostre, znacznie wyższe i tworzą ostre granice. W punktach krzyżowania się grzbietów wyrastają na wschodzie ostre, wysokie turnie skalne, spadające nieraz setkami metrów stromych ścian ku dolinom, na zachodzie zaś w punktach węzłowych mamy dość łagodne nabrzmienia, rzadko odcięte stromemi i wysokimi ścianami od dolin.

Tatry dzięki swemu położeniu wśród Karpat i dzięki swej stosunkowej wysokości mają ogromnie dużo opadów i nadzwyczajnie ruchliwą termikę. W tej ostatniej odbija się przede wszystkim kontynentalność położenia, wyrażająca się w nagłych, dużych i częstych skokach temperatury. Niestety nie mamy w Tatrach obserwatoryów meteorologicznych, choćby najskromniejszych, a ten materiał, który dzięki dość systematycznej pracy zebrali węgry, razem z materiałem prawie przygodnie zbieranym po naszej stronie (jakie takie obserwacje od kilkudziesięciu lat prowadzone ale przerywane i bardzo nierówne co do wartości mamy tylko z Zakopanego, reszta z punktów dalszych) nie daje nam dokładnego wyobrażenia o tych wszystkich niezmiernie ciekawych zjawiskach meteorologicznych, których widownią są Tatry. We wszystkich ważniejszych i najważniejszych szczegółach potrzeba posługiwać się analogią z Alpami i t. d., dlatego o Tatrach możnaby mówić niemal same tylko ogólności, co oczywiście bynajmniej nie odtworzy ich indywidualizmu. Z tego, co wiemy konkretnie, można wnosić, że pod wieloma względami przypominają punkty wysoko na północy Europy położone, to znowu mają cechy swoiste, właściwe tylko górcom. Najważniejszymi momentami w charakterystyce gór wogóle, a zatem i Tatr, są: malejące ciśnienie barometryczne wraz z wzrastaniem wysokości, rosnąca z tem równolegle insolacja i wzrastająca do pewnej granicy łatwość powstawania opadów. Te czynniki na tle bardzo urozmaiconej rzeźby powierzchni wywołują nieprzeliczone efekty meteorologiczne, urągające wprost nawet najlepszym obserwacjom przy pomocy przyrządów. Je-

dnak w Tatrach te wszystkie efekty jeszcze na długi czas będą mogły być tylko podziwiane ale nie zrozumiane, nie znane dokładnie w przyczynach i przejawach.

Na tak różnorodnym podłożu i wśród tak różnych, ciągle zmiennych warunków fizycznych rozwinęła się niepomniernie bujnie roślinność, życie wogóle. Bardzo niedawno w sensie geologicznym—przeżyły Tatry ogromną rewolucję, która odbiła się głęboko na wszystkich istotach żywych. Pomimo to, pomimo zubożenia form, świat żywy ma w Tatrach tylu reprezentantów gatunkowych i osobnikowych jak nigdzie indziej na ziemiach polskich.

Rośliny, zależne od gleby, wilgoci i nasłonecznienia, znajdują te warunki w mnóstwie kombinacji. W wypadkach skrajnych, gdy są bardzo wyłączone, tworzą zbiorowiska, zależne wyłącznie od jednej grupy tych czynników. Tak więc mamy florę wapienną na wapieniach, bezwapienną na granitach i skałach bardzo ubogich w wapień, florę stromych prostopadłych ścian, moczarów, łagodnych hal i ciemnych, wilgotnych borów i t. d. Zbiorowiskami temi rządzą jednak prawa mocniejsze, wynikające z natury gór. Klimat pozwala istnieć wielu zbiorowiskom obok siebie, ale tylko wtedy, gdy jest łagodny; gdy w miarę wzniesienia coraz wyższego i klimat staje się surowszy, zostaje jedna po drugiej z roślin, a potem i całe zbiorowiska, poniżej pewnych granic, nie mogąc ich ku górze przekroczyć. W ten sposób powstają leżące nad sobą pasy roślinności, których Kotula w pomnikowym dziele o florze Tatr wy-



fot. ze zb. prof. St. Sokołowskiego.

KOSODRZEWINA NA SARNIEJ SKALE.

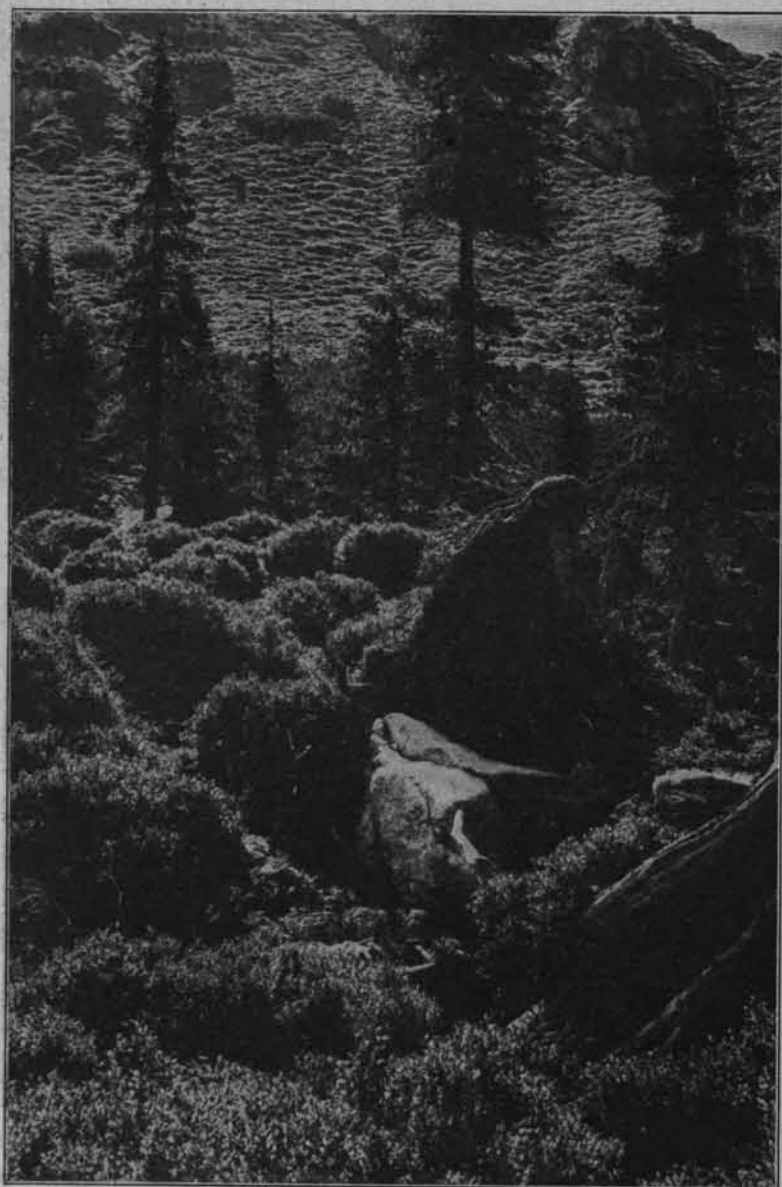
różnił 7. Nazywa je krainami i wyróżnia: 1) krainę uprawy roli od 700—1000 m., 2) krainę dolnych regli t. j. buku i jodły od 1000—1260 m., 3) krainę górnych regli aż po górną granicę lasu świerkowego niemieszanego t. j. po 1545 m., 4) krainę kosodrzewiu gęstego i roslęgo po 1789 m., 5) krainę kosodrzewiu karłowatego, rozrzuconego po 1960 m., 6) górną krainę alpejską bez kosodrzewiu do 2250 m., 7) krainę turni i płatów śnieżnych aż po 2263 m. Wedle jego badań ilość gatunków roślin naczyniowych wyrażają w krainach od 1—7 kolejno liczby: 644, 675, 526, 462, 351, 270, 83. Ponad 2500 m. wysokości żyją jeszcze 16 gatunków! Oczywiście te pasy są czemś elasty-

cznem; znana jest rzeczą, że na zboczach z wystawą południową podchodzą wyżej niż na zwróconych ku północy; głębokie doliny ogromnie obniżają zasięg pasów, tak samo wysokie ściany i t. d..

W tych wielkich liniach, jakby w okach wielkiej siatki, gubi się mnóstwo nadzwyczajnie ciekawych przystosowań do warunków zewnętrznych, mnóstwo różnorodnych objawów życia na małą skalę, ale niemniej nadzwyczajnie intensywnego. Nieprzyjazny na ogół klimat zmusza wszystkie rośliny do ścisłego dostosowania się do warunków fizycznych. Rośliny odpowiadają więc na nie w ten sposób, że skracają najczęściej czas wegetacji i przystosowują się do częstych mrozów i śniegów tudzież do długotrwałej pokrywy śnieżnej w ten sposób, że nawet w zimie zachowują możliwość wegetacji.

Do warunków bytu przystosowuje się tak samo i świat zwierzęcy, boć zależy on nie tylko od klimatu, jakości i kształtu podłoża ale i od roślin. Tylko tu indywidualizacja jest daleko bardziej posunięta naprzód, daleko większa, a więc i ujęcie w schematy trudniejsze. Zwierzęta, zwłaszcza wyższe, mają swobodę ruchów, możliwość przenoszenia się z miejsca na miejsce. Dlatego to mamy tylko kilka form z pomiędzy kręgowców, które są typowo górskie, nie spotykają się u nas w nizinach. Taką jest kozica, ryjówka górską, świstak i t. d., spotykane tylko w Tatrach. Między ptakami, gadami, płazami i rybami niema form wyłącznie tatrzańskich ale są wogóle górskie, które spotykają się i gdzieindziej w Karpatach, np. w Pieninach, Beskidzie i t. d. Przystosowanie do gór przejawia się tu w rozmaity sposób. Mały, niepozorny pomurnik, ptaszek zwany przez górali „mentel“, zamieszkujący w lecie najwyższe turnie tatrzańskie, schodzi na zimę aż do Pienin i tu po drogach szuka pożywienia, jego wędrówki sezonowe mają więc bardzo ciasne koło.

Świat zwierząt niższych, a więc owady, robaki, mięczaki



ZBIOROWISKO BORÓWEK W DOLINIE KASPROWEJ.

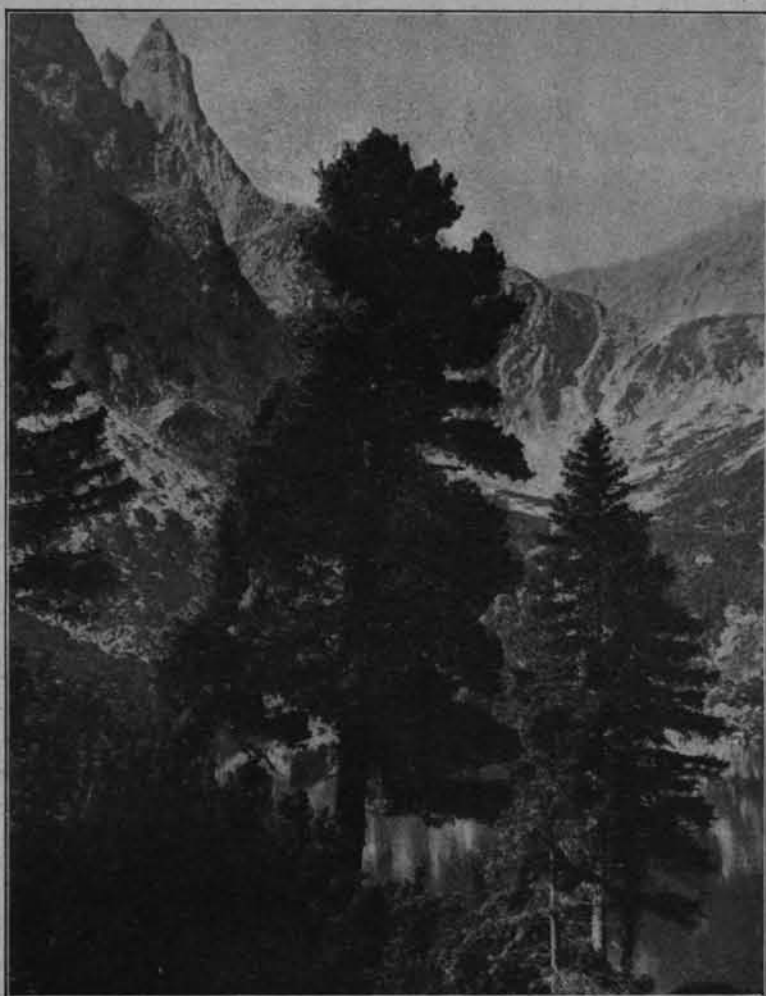
fot. J. Lande.

i t. d., niestety, jak tyle innych zjawisk w Tatrach, tylko częściowo zbadany, wykazuje już bardzo wybitną zależność od klimatu, wzniesienia i podłoża. Tu też spotykamy zjawisko podziału na krainy w sensie Kotuli, a obok form typowo górskich, ale zamieszkujących nie tylko Tatry lecz np. i Sudety, Alpy, a nawet Ural i Kaukaz, spotykamy formy endemiczne, t. j. tylko tatrzańskie, dotąd skądinąd nieznane. Prócz tego znane są i formy, zamieszkujące Tatry i krainy podbiegunowe.

Wszystkie dotąd poruszane zjawiska, które w najogólniejszych zarysach miałyby scharakteryzować fizyognomię Tatr, wskazują, badane szczegółowo i porównawczo, nie tylko na wzajemny związek w chwili obecnej, ale jako całość mówią głośno o związku z przeszłością, o tem, że stan obecny to tylko jedno ogniwo w łańcuchu rozwojowym, etap w przemianie tego, co było, na to, co przyjdzie.

Tatry jako organizm żyją nie od dziś; najdrobniejszy kamień wchodzący w skład tej potężnej budowli ma swoją przeszłość, która w ten czy inny sposób zaznacza swoje istnienie, warunkuje stan dzisiejszy. Dotyczy to nie tylko życia mineralnego wszystkich skał; świat żywy w pospolitem tego słowa znaczeniu, a więc rośliny i zwierzęta, zawarowane w swym istnieniu tą przeszłością i stanem obecnym skał i — w daleko wyższym stopniu — procesami geologicznymi, którym towarzyszą pewne stosunki meteorologiczne i inne — ulega prawom natury w sposób bez porównania wyraźniejszy, a przeszłość zaciera się do niepoznania w czasie stosunkowo bardzo krótkim. Dlatego to o przeszłości roślin i zwierząt, dziś zamieszkujących Tatry, wiemy tak niewiele, a o przeszłości geologicznej moglibyśmy wiedzieć tak dużo — gdyby badania geologiczne były we wszystkim ukończone lub przynajmniej równomierne. Tak jednak nie jest.

Skały krystaliczne Tatr, t. j. granit, łupki krystaliczne i t. d. były do niedawna w zupełnym zaniedbaniu. Dopiero od kilku lat zmieniły się stosunki na dobre, a te niepublikowane



fot J. Lande.

LIMBA NAD MORSKIEM OKIEM.

jeszcze oficjalnie wieści, które od czasu do czasu przedostają się przez grubą zasłonę tajemnicy, pozwalają mieć słuszną nadzieję, że w Tatrach będziemy mieli do czynienia z niezmiernie ciekawym kawałem starej skorupy ziemskiej.

Na granitach leży najstarsza skała osadowa t. j. warstwowany kwarcyt permski. Nie znaleziono tu ani jednej skamieliny, do permu zalicza go się na podstawie analogii, a zresztą nie można dotąd powiedzieć, czy jest utworem pustynnym czy przybrzeżnym.

Dopiero od permu mamy formacje dobrze datowane. Cały ciąg mezozoikum to zmiana mórz otwartych, zmiana ich osadów. Śledząc rozmieszczenie po globie ziemskim szczątków zwierzęcych, zawartych w ławicach wapiennych potężnej ściany Giewontu czy olbrzymich krzesanic Czerwonych Wierchów, albo rysując na mapie globu rozmieszczenie czerwonych łupków przy drodze z Kuźnic na Boczań lub dolomi-



tów doliny Strążyskiej — odtwarzamy dawne oceany w miejscu dzisiejszych gór; zaczynają nam w przeszłości odległej o miliony lat majaczyć kontury starych mórz, opasujących glob ziemski inaczej niż dziś. Widzimy osady głębin morskich, stare rafy koralowe, wnosimy z pewnych zjawisk o bliskości brzegu, odtwarzamy środowiska życia, prowincje świata żywego i t. d.

Widzimy jednak w Tatrach, w północnym pasie skał osadowych, dość dziwne zjawisko, że mianowicie dwie serye pokładów, z tego samego czasu pochodzących, leżą na sobie, każda dla siebie jeszcze sfaldowana. Uhlig próbował w swoim czasie wyjaśnić to zjawisko pewnym zbiegiem sąsiedztwa dwu prowincji morskich, jednakże hipoteza ta upadła, a na jej miejsce przyszło prawdziwe poznanie rzeczy. W Tatrach w sposób klasyczny stwierdzono nasunięcia olbrzymich mas skalnych jednych na drugie. Te nasunięcia dokonały się po skończonej erze mezozoicznej, po osadzeniu się górnej kredy. Wiemy dziś, że w czasie mezozoikum nasze Tatry jako góry nie istniały.

Następny osad morski to stary trzeciorzęd, to „jarzec“ u wstępu doliny Kościeliskiej i te łupki i piaskowce, na których stoi muzeum Cha-

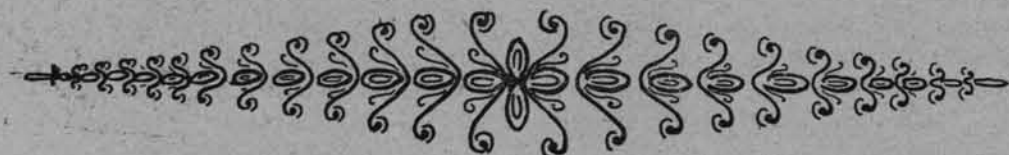
łuńskiego i z których składa się łańcuch karpacki. Morze eoceńskie zastaje już Tatry jako góry, i odtąd historia Tatr jest wyraźniejsza. Roślinność w tym czasie jest bliską podzwrotnikowej, bujną, bogatą, życie morskie dość jednostajne, ubogie.

Cofnięcie się morza eoceńskiego jest końcem wtargnięć morskich na nasz obszar. Odtąd Tatry są lądem stałym, degradacja rozpoczyna się na dobre.

Dopiero znów tajemnicza epoka lodowa przerywa ten jednostajny proces. Lodowce zmieniają niezmiennie dużo: rzeźbią tę nadzwyczajnie bogatą rzeźbę powierzchni, daleko z Tatr wypędzają formy roślinne i zwierzęce, niezdolne do przystosowania się do nowych, twardych warunków, protegują zaaklimatyzowanie się organizmów nowych, dotąd tam nieznanych. Z tego to czasu tak w roślinności jak i wśród fauny pozostały nieliczne ale ciekawe świadki tak potężnego przewrotu.

Dziś trwa znowu proces zarównywania powierzchni, powracają też powoli do swojej ojcowizny pewne istoty żywe, — o ile nowy potężny czynnik w gospodarce przyrody t. j. człowiek nie reguluje już procesu rozwojowego wedle swoich celów.

Wiktor Kuźniar.



Lud Podhala.

Góral nasz,—mniejsza o to czy go nazwiemy podhalaninem w ścisłym znaczeniu tego słowa, czy też góralem dla wyróżnienia go od chłopca „dólskiego“, „lacha“, nieumiejącego dźwięku „i“ wymówić inaczej tylko wargowo (eu), bądź dla odróżnienia go od liptaków, orawców, spiżaków, — mieszkających na Podtatrzu węgierskiem,—musiał być i musi być innym od reszty ludu polskiego, jeśli uznamy za prawdę to, że klimat, przyroda wywierają przemożny wpływ na życie, duszę, charakter, umysłowy rozwój człowieka.

Tu bowiem, na Podhalu, inna, odmienna przyroda, prawie w niczem nie podobna do przyrody na ziemiach polskich, pełna barwnych kontrastów, splatających się w cudowną, harmonijną całość. Nie jest to ani pagórkowaty kraj

o glebie zdolnej do wydania pszenicy—ani kraj nadwiślańskich nizin, gdzie rosną pszenicy łąny, żyta, jęczmienia, tatkarki, a w ogrodach drzewa owocowe;—ani też błotne, lesiste, oparami wiecznie rozpościerającej się mgły zasnu-te Polesie, — ani wreszcie piachowata czy gliniasta ziemia Mazowska czy Wielkopolski. Ziemia, natura, kraj Podhala, całkiem inne. Tu natura jakaś dzika, groźna, kiedy na tę przeogromną bryłę granitów tatrzańskich patrzymy,—a na dolinie Nowotarskiej zielenią łąk, pastwisk, barwami kwiecia umajona; ziemia to chuda, jałowa, skalista, twarda i „nieużyta“ pod uprawę jakiegoś lepszego „życia“.—„Tu chleb się kończy, a woda i skale się pocynajom“—mówi o swej ziemi nasz góral. Mimo to on tak się żył z nią, że z trudem, ba, ze szczerem bólem serca że-

gna ją, kiedy dla zarobku jedzie za morza, a wróciwszy kupuje za zaoszczędzony grosz nie żyzną ziemię u lachów, — ale u siebie, swoją chudą „ziemecke“. Musi więc być w tej ziemi skalnej, w tej przyrodzie tatrzańskiej i w tym ludzie coś, co ten lud wiąże, przykuwa do tej ziemi — a co ciągnie tu z dalekich światów „gości“ i co każe na ten lud inaczej patrzeć, niż na lud „dólski“.

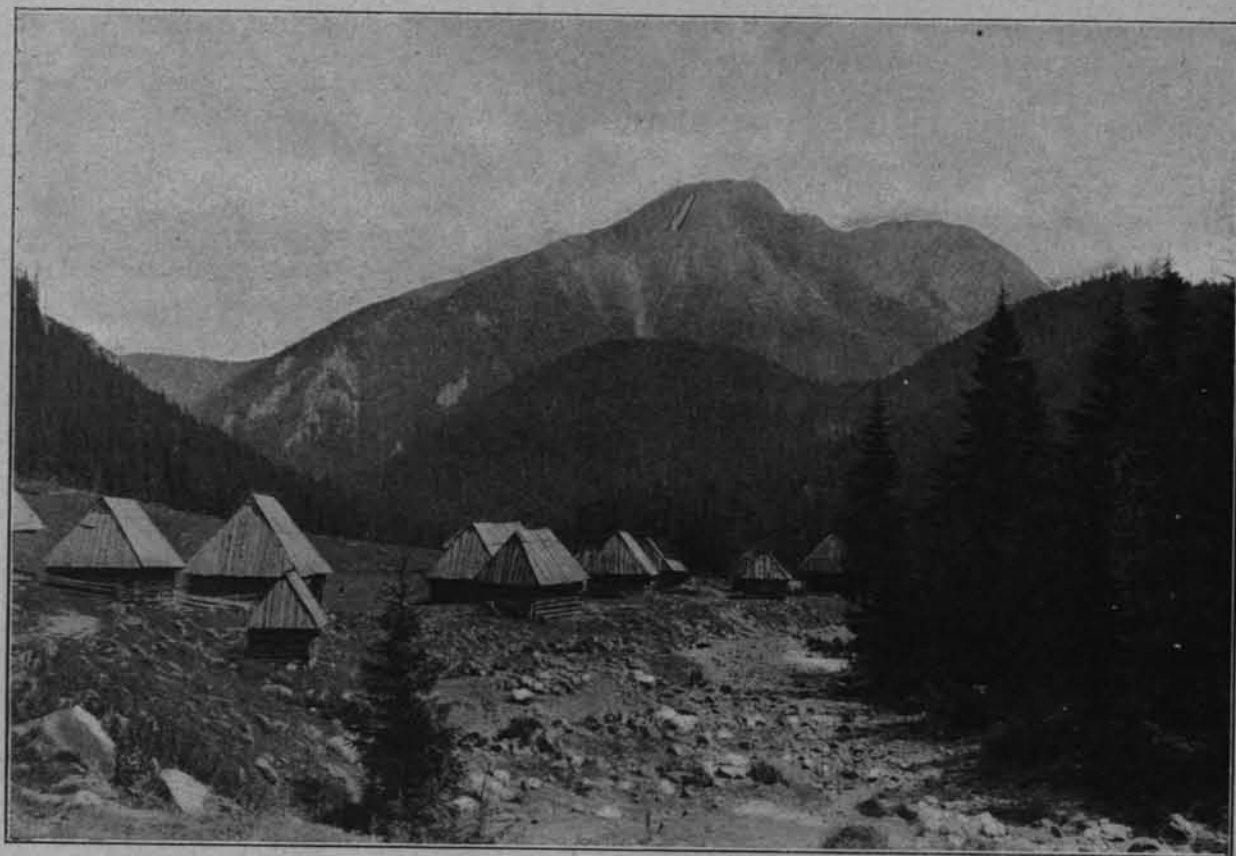
Wglądając zaś w zjawiska życia na Podhalu, przekonujemy się, że góral wraz z przyrodą tworzą jakby jedną całość: przyroda jej część fizyczną — a góral duchową. „Ono tu syćko ma u siebie swoje dogadanie“ — mówią górale o życiu swoim i o naturze swej ziemi. Góral jest też dzieckiem tej natury, na której dziwy, zmiany patrzy całe życie.

Jemu się zdaje, że te sowy, mnichy, sarny, wśród groźnych wirchów majaczące, wołały, zabłąkawszy się tu przed wiekami, skamienieć, zostać tu wśród Tatr i być codzien świadkami tych czarów, zjawisk tajemniczych, jakie się odbywają wśród granitowych krzesanic, pieczar głębokich, „zamków“ nad reglami i w odwiecznych lasach. On widzi codzien te mgły, waleśające się gromadami po turniach, jak czepiają się krzesanic, rozwieszają po lesie, na reglach, jak łączą się, płyną w przecudaczne postacie zamienione po grzbietach gór, po okolicznych wirbach, owijając się około limb — samotnic i dopiero przed silnem gorącem słońca ustępują, nikną jak duchy gdzieś w przestworzu. A owe złociste, tęczowemi barwy ubrane świty, te poranki słoneczne, przebogate w barwy zachody słońca za „Babią“, — to palenie się, „jarzenie“ Tatr w ciepłuskie wieczory letnie i pogodne, kiedy to słońko zachodzące przez mgły się przebija i tafle tęczowe kładzie na szczyty Tatr od Ornaka aż po Murań, — czyż nie rozpalają wyobraźni górala? A te noce księżycowe, gdy tajemniczy blask miesięczka obleje i sine szczyty Tatr, i regle lesiste, i polany, i dolinę całą, i Gorce Beskidu, a wśród pustaci tatrzańskiej poustawia dziwaczne postacie mnichów, baszt, kominów, płaczek — kiedy to na dolinach wlecz się wśród pól mgłą otulonych polna Zaduma-Osmętnica, a po lasach cicho przesuwają się Głusza — czyż nie wlewają nocki takie czaru przedziwnego, smętku, zadumy pewnej w duszę ludu podhalańskiego? A owe pienne, wartogłowe, pianą srebrną bryzgające potoki, z głośnym łoskotem i wrzawą w dolinach pędzące, — czyż nie urabiają pewnych właściwości, czynników duszy tego ludu?

Taka bujna, przebogata w zjawiska czarowne i potężne przyroda matką się stała i mu-

siała stać się tego ludu, odciawszy go od świata już dawniej — gestwą lasów, — a ten lud pokochał ją, bo ją zrozumiał, od niej kształtów i duszy nabrawszy. Jak matka — wychowała sobie ta przyroda tatrzańska dzieci, dookoła niej osiadłe, dała im od lachów odrębny obyczaj, swoją namiętność, wdzięk, grozę, śmiałość, rzutność, energię, zdolność do gwałtownych zmian w usposobieniu, i orłom ich siedziby pilnować kazała. Ona ich nauczyła praw życia, dała im twardość i siłę mięśni u ramion, gibkość ciała, lekkość nóg, by mogli z nią w każdej chwili życia swego obcować jak z matką swoją, dobrą i znajomą, niby swój ze swoim. Ona góralowi niegdyś skarbow w łonie swem szukać pozwoliła, złoto z pod Krywania dobywać nauczyła i miedź i żelazo topić, by mógł grosz „na przednowek“ tu zarobić i siebie i rodzinę swą wyżywić w najgorszym czasie dla Podhala. Na choroby lekarstwa sporządzać go nauczyła z ziół swoich — otoczyła go mnogością bóstw, by się nim opiekowały na każdym kroku lub hartowały go. Ta też przyroda, odmienna od przyrody w ziemiach dawnej Rzeczypospolitej, jakąś odrębność plemienną mu dała, ale nie zapomniła wyrobić w nim poczucia narodowego, którego dowody od wieku składał, walcząc z tatarami, co się podobno w te strony zapędzali, zdobywając sobie przywileje na sołtysów za Batorego i jego następców, a w r. 1846, kiedy na dolinach Metternich pragnął wyhodować chłop-mordercę, tu na Podhalu zrodził się chłop-patryota, powstaniec chochołowski. Co mogła dać ludowi swemu, to dała ta natura tatrzańska. Śmigła, gibka postać, twarz ogolona i chuda, orli nos, wysokie czoło, duże w pięknej oprawie oczy pełne siły i ognia, włos płowy, dawniej spadający na ramiona, i w warkoczyk mały nad uchem spleciony, lekki chód, nogi zdolne wspinać się orlą percią — oto zewnętrzny wygląd górala, podhalańca.

A natura jego ducha również na modłę przyrody urobiona. Duma rodowa i pycha, „honorność gazdowska“ — ta sama, co u wielkich magnatów polskich, poczucie siły i wyższości duchowej każą mu w „lachach“ uznawać „dziadów“, niedołęgów, i z pogardą na nich patrzeć, choć ich kraj pszenicę rodzi; obyczaje wytworne, pojętność wielka, rozum i rozwaga bystra, zawsze czujna, chęć do pogwarki z ludźmi „rzetelnymi“, jasność w wypowiedaniu swych myśli, wyjątkowa inteligencja, oryentująca się szybko i zdolność przyswajania sobie wszystkiego, co u drugich zobaczy, temperament gwałtowny, nie lubiący czy nie umiejący ani roboty ani zemsty odkładać do jutra — lecz zrobić



HALA — POLANA CHOCHOŁOWSKA I KOMINY TYLKOWE.

fol. J. Lande.

wszystko dziś, choćby nie wiem jakie przeszkody mu zawadzały: dziś z przeciwnikiem się rozmówić, a jak padnie, łeb mu ciupagą rozwalić, — a potem płakać szczerze nad nim, jak dziecko, — albo pogodzić się z nim, dobremu słowu chętnie zawierzyć; rozkochać w sobie dziewczynę, a potem ją porzucić i dla majątku się z inną ożenić — ale żyć przykładowie z nią i nigdy „na złe słowo ze swoim starom (żoną) nie przyść“ — oto cechy górala, które robią go miłym towarzyszem, przewodnikiem — a które czynią go odrębnym od reszty ludu.

Ale nie obce mu są i przywary, których wiele nabrał od przyjeżdżających gości. Chytrłość wobec ludzi nieszczerych dłań, przebiegłość, mściwość za doznane krzywdy — to przywary stare, ale do nich przylączyło się z latami pieniacstwo, podsycane przez nieuczciwych ludzi, skrytość i nieufność wobec „panów“, a do tego w Zakopanem zepsucie moralne, chęć używania świata, pijaństwo, co się zwłaszcza objawia u młodszego pokolenia; zamiast dawnej prostoty gburowatość wśród młodych „fiaków“, nieuszanowanie starszych, nawet i rodziców, gdy widzą, iż praca ich nie jest już tak wydajna, jak za młodych lat — to przywary złe, rosnące z każdym dniem.

Wśród innych warunków rozwijał się góral dawniej niż dziś. Ci, co siedzieli nad Czarnym Dunajcem, obok Nowego Targu, mieli i kościół bliżej i pod jego wpływem poniekąd zostawali i pojęcia swe urabiali, kształcili; — ci z pod Tatr samych, żyli oddani tylko wpływowi własnym, przyrody i warunków ekonomicznych. Ale na całym Podhalu wolność osobista była od wieków, bo w królewskich dobrach siedzieli, „na ślebobdzie“, jako sołtysi lub za czynszem, składanym w zamku czorszyński — więc pańszczyzny nie znali nawet i po rozbiorach, bo przeważna część wsi Podhala odkupiła od rządu dobra należące do prefektury nowotarskiej. A choć uprawa roli była tu głównym zajęciem, to jednak wsie, leżące bliżej Tatr, trudniły się pasterstwem i zbójnictwem, „wyskakowaniem po za bucki“.

Życie pasterskie — nie to, jakie dziś spotykamy — miało w sobie niegdyś wiele podobieństwa do życia koczowniczego. Zdaleka od świata i ludzi na dolinach żyjąc, wśród lasów i polan, żyli wolni, swobodni, myśląc o tem, jakby przechować jak największą ilość owiec i krów. Tu młody juhas zaprawiał się w walkach z liptowskimi czy orawskimi juhasami do zbójnictwa, uczył się kochać swobodę, hartować swe siły, odwagę i śmiałość w sobie wyrabiać. Nieraz

potykać się musiał z grubym „dźwierzem“, nie-dźwiedziem czy wilkiem—wyrabiając się na myśliwego—a przytem codziennie prawie z inną polaną, pustacią, wirchem się zaznajamiał i wszędzie część duszy, wspomnień zostawiał, depcząc percie dla innych, późniejszych pokoleń. Najpiękniejszą część roku każdego i życia swojego przepędzał dawny podhalaniec w Tatrach, pilnując owiec swoich, które dawały mu i mleko i wełnę. Ale stąd szedł też, wzrósłszy w siłę, na zbój jako „dobry chłopiec“.

Co było niegdyś bohaterskiego w życiu podhalan, ich śmiałość, odwaga, zęczość, siła niemal nadprzyrodzona, junacka fantazyja, pogarda życia, buta niezmierna, namiętne ukochanie wolności—to wszystko skryształizowała opowieść tatrzańska w „zbójniku“—tym farysie pustyni skalistej. Z tą samą fantazyją, z jaką szedł zbójnik z towarzyszami rozbijać dwory grafów węgierskich, ginął potem na szubienicy, a zresztą śmierć taką uważał za honorną, bo wszak Sabala jeszcze stary mówił: „chłopu to jino na pościeli umierać—niehonorna rzecz“. Nie wstydzono się zbója w rodzie, bo „zbójnik idzie w niebo na samiućkim przodzie“,—a zresztą o to się i sam Bóg nie gniewa, jeśli kto zbójkuje, „bogaty bierze, a biednym daje“, równość zaprowadza na świecie,—jeśli tylko zbójnik, idąc w drogę, westchnie w piosence: „Dejże Panie Boże zbójnikowi szczęścia“,—a wróciwszy z łupem bogatym, „z piersego końca da Panu Bogu na ochfiare“. Do dziś też legenda opowiada, iż nieraz zbójnikom kleryk schwyty w lesie musiał prawić kazania o Bogu, o piekle—a kościół św. Anny na Niwie, pod Nowym Targiem, zbudować mieli zbójnicy. Szanowali też zbója dawniej, mieli cześć dla jego siły, odwagi, dopóki się „nie zeżył“—t. j. nie zabił niewinnego, kościół nie ograbił i dziada, ubogiego nie skrzywdził.

A nad wszystkich wyrósł do olbrzymich rozmiarów, bohaterów Homerskich sięgając, zbójnik, przestępny harnaś na Podtatrzu, Janosik z Tarchowej z Hornotrenciańska, „Achilles z ciała—Hektor z duszy“, który równość siał między ludźmi i krzywd chłopskich mścił na węgierskich panach. Zdradą kochanki pojmany zawisł na szubienicy w Lipto St. Miklos (w Mikułaszu) 13 marca 1713. Legenda opowiada, iż cesarz zniósł wyrok śmierci, ale panowie węgierscy na Liptowie już nie mogli go cofnąć i za to Liptów po dziś dzień płacić musi ćwierć korca talarów. Boć przecie ten Janosik sam jeden stał za regiment wojska, sickierka jego za drugi, a „towarzysia“ jego, wśród których był i szlachcic Baczyński, za trzeci regiment. Z nim nie wsty-

dziła się i cesarka Tereska trzy dni w zbójniczej karczmie tańczyć, przybywszy z Wiednia na tę zabawę.

Dziś już zbójników niema—na ostatnich patrzyli się ci, którzy tu przed kilkudziesięciu laty przybyli. Pomarli już i Jaś Nowobielski, Kubik z Cichego, i Maturowie z Cichego, Tatar, Ostrowski, Kruczek, a o ich życiu, przygodach, mało co kto wie już dziś. Pomarli i starzy „polowace“, myśliwi jak Sabala, na staroświecką nutę grający „muzykowie“, jak Krzyś,—zdaje się, że skończyły się niepowrotnie czasy bezgranicznej „ślebody“ na Podhalu. Dziś wspominają o tych dawnych czasach i ludziach już tylko starzy gazdowie, ale coraz rzadziej. Na wieczorach, choć nie wszędzie poza Zakopanem, mówi się o zarobku, o Ameryce i... o polityce.

Zbójnictwo więc dziś wygasło już zupełnie, a choćby i młodego parobczaka rwała pokusa do dawnej swobody, to stanie mu w poprzek drogi żandarm z kajdankami,—a zresztą zmieniły się i warunki ekonomiczne, i życie na Podhalu inną drogą się już toczy. Słaby też żywot wiedzie i dawniejsze pasterstwo, pozbawione dawnego uroku, jakim pociągało do siebie górali. Nie słychać już grania „fujer“, trombit, gęśli zawodzeń po halach, ani tych „wyskań“ juhasek, śpiewanek miłosnych pasterzy, „turlikania“ licznego stada owiec wśród zielonych polan. Dziś kilkunastoletni juhask, którego by za „honielnika“ do pomocy nie był wziął dawniej stary baca, pasie coraz mniejszy „kyrdołek“ owiec, czekając na polanie „panów“, którymby mógł sprzedać „kocie łapki“ lub „fiolkowy kamień“—a zamiast gęśli grania przedrzeźnia się muzyce lasów i potoków chrapliwy głos fabrycznej „harmonii“, na której wygrywa juhask dzisiejszy przyniesioną z wojska, czy od inteligentów złapaną pieśń i melodyę: „Małgorzatki“ czy „Rachciachciach“ polki.

Zmieniły się czasy, zmienili się ludzie, zmienił się do cna świat halny w Tatrach—i tylko gdzieś stary gazda, wspominając znane z opowieści czasy, zaśpiewa tęsknie:

„Ej, zahucaly góry, zahucaly lasy,
„Ej, kanyz się podziały staroświeckie casy!“

A razem z tymi objawami swobodnego a górnego życia i stara wiara u ludzi zaginęła, w wierzeniach i obrzędach się skryła i nawet nie przed każdym „niepilcem“ obcym zdradzą się ze swojemi wierzeniami górale.

Wiara ta jednak, choć niby na katolickiej religii oparta, ma przecież swoje własne, czysto góralskie oryginalne cechy. Jest to raczej mieszanina pojęć pogańskich i katolickiej religii

i etyki, zabarwiona pojęciami czysto lokalnej natury, na które składały się wieki całe, życie wśród innej przyrody i w innych warunkach niż na dolinach. Tu cała natura, Tatry, lasy, polany, rzeki, gaje, domy, zapelnione były bóstwami dobrymi lub złymi. W lasach, usypiskach, gajach, nad rzekami żyły boginki - psotnice, „mamuny“ wodziły ludzi po błędnych drogach i lasach, odmieniały dzieci, „topielce“ czyhały na ludzi pod mostami, w gajach i w rzekach i porwały ich do wody, „strzygonie“ ssali krew nocą ludziom, „siodła“ przysiadły konie, dziwożony porwały niewierne dziewczęta. Widywano między chałupami kręcące się nocą duchy krzywoprzysięzców, krzywdzicieli sierot; na polanach tatrzańskich włóczyły się krwawe widma juhasów; gdzieś w dali za wsią „trzy śmierci tańczyły“ i po tańcu rozlatywały się ludzi brać, a przywileje do tego miały różne, bo do dziś słysząc, jak mówią górale: „kazda śmierć ma swojom przywilejom“, ona sama powód choroby, śmierci wynajdzie i bronić się przed nią byłoby daremne. Więc chyba „gościca“ wypędzić z człeka trzeba urokami, czarami, zielem, ale i gościc jeżeli uparty i „złyk końców nie popuści“—umierać trzeba i wtedy każdy uznać to musi, że „taka a nie inaksa była przywileja śmierci“. „Płanetniki“ w chmurach jeździli, zły deszcz na ziemię zsyłali, lecz kto sposób na nich znał, ten i chmurę zażegnał, że stanęła w miejscu, rozeszła się w nicość, albo na hale się wróciła, gdzie płanetnik deszczu gwałtownego, „naremniczy“ nie żałował.

Nie brakło i dyabłów, przybierających na się postać szlachcica, który Niemców-przybyszów gubił, ludziom „przykorował“, do złego kusił, pijanych żywcem brał. Stąd nieraz nad domem pijaka gazdy, gaździny, widziano stada wron, kruków i sów,—a nad ranem w tym domu już trup był z pijaka, ale dziwny, bo skoro się go kto dotknął palcem, to skóra na nim „ino susciała, takie puki oddawała, bo kości i ciało i duse wzieni jesce za żywocia dyebli do piekła“.

Na polach, polanach, turniach lub kępach skalistych rozlegiwał się z gromadą węzów „król-wąż“ z koroną złotą na głowie, z grzechotką na końcu ogona, którą zwolował węże „do gromady“.

Starzy ludzie opowiadali o kościołach zapadłych w głębinach torfowisk, obok Czarnego Dunajca i w Morskiem Oku.

W Tatrach pod „Pisaną“, czy jak inni mówią pod Babią Górą, król polski Bolesław śpi z rycerzami swymi i czeka, kiedy już będzie



fot. J. Jaroszyński.

STUDNIA W ZAKOPANEM
(PRZY UL. KOŚCIELISKIEJ).

mógł Polskę budować, kiedy zgoda wśród nas zapanuje.

Nie brakowało niegdyś znachorów, lekarzy umiejących odczyniać uroki, gościc zły wypędzać, a znali oni i znają własność każdego zioła i niem leczą dziś choroby wszelkie; byli tu i odgadywacze, co wskazywali gazdom, gdzie ich rzeczy, przez zbójników skradzione się znajdują i „inkluza“, co pieniądze porwała ludziom, odpędzać umieli i formuły zaklinania skarbów „ziemnych“ znali.

Przeciw zaś duchom złym broniono się zielem święconem, wodą z „prędu“ rzeki, pacierzami na opak mówionymi i amuletami, jakimi były spinki, paciorki szklane, bursztynowe, korale, cudaczne tajemnicze znaki na drzwiach domostw i węglach, dziś krzyżami zastąpione.

Są i dziś te wierzenia, zabobony i czary—ale tylko wtajemniczeni znać je mogą. Stanowią one niejako uzupełnienie religii podhalan, cechą odrębną jej nadają i pozwalają wglądać w pradawne, mrokami wieków zasnutą czasę, w których góral naprawdę czuł się dzieckiem tej natury, czcił ją, badał jej tajemnice, które ona przed nim odsłaniała z wdzięczności za to współżycie z nią serdeczne, za miłość i przywiązanie do niej.

Boga wyobrażał sobie z pewnością nie tylko Sabata ale i inni,—jeśli nie towarzysze jego, to ojcowie, dziadowie ich, którzy „na odpusty łakomi nie byli jeszcze“, bo kościół był daleko wówczas—jako gazdę, gospodarującego w niebie, niby na „hrubym gazdostwie, okolicnym“, a obok niego pomocnicy, służba—to aniołowie.

„Z nim w karty grał nie bedzies, ani mu sie prociwil nie bedzies, bo je Bóg“— mówił stary Sabala, a z nim dawni górale. Swojskie więc pojęcia o Bogu i kościele mieli podhalanie. Wszak kiedy kościół zbudowano w Zakopanem, ks. Stolarczyk nie mógł chłopów oduczyć zapalania fajek od „wiecystej lampki“ przed wielkim ołtarzem, a do dziś niejeden w kościele pośpi sobie i ani za grzech to sobie poczyta, „bo nie grzesy wte ani myślom, ani ucynkiem“, a „naprzyksać sie Bogu niema co“.

Rządy nad światem sprawuje Syn Boży, a Matka Boska, zwłaszcza ta z Ludzimirza, sprawuje rządy gaździny w niebie, rozdziela modlitwy ludzi między świętych, za ludźmi oręduje u Syna i Boga Ojca.

Jednak nie brak tu obok liberałów, „grześników“, zanadto pobożnych dusz „pobożników“, bigotów skrajnych. Wszak tylko na Podhalu, gdzie temperament ludu zdolny jest do ostateczności we wszystkim, mogła powstać sekta „sidziniarzy i sidziniarek“. Nazwa ich pochodzi od wsi „Sidziny“, obok Makowa leżącej, gdzie proboszczem był góral, chochołowianin, ks. Jan Blasiński, nadzwyczaj pobożny i pragnący wśród współziomków zaszczerpić ducha prawdziwie religijnego. On to za pieniądze jakiegoś emigranta polskiego zbudował w Chochołowie dzisiejszy kościół w stylu gotyckim. Lud zaś, chcąc mu się odwdziaczyć, pragnął wstąpić w jego ślady, i pobożniejsi gazdowie, parobcy, dziewczki i gaździny schodzili się w niedzielę po nieszpiorach lub w zimowe wieczory u jednego z sąsiadów i tu śpiewali pieśni kościelne, odmawiali wspólnie modlitwy. Wnet jednak znalazły się wśród kobiet przemądrzałe, które nie dość że kazania księży krytykowały, ale i apokalipsę objaśniały. Stąd wyrobili się w pewne sekciarstwo, które do dziś dnia na Podhalu żyje, nie przez wszystkich księży jednakowo tępione, a którego treścią jest bigoterya fałszywa, zamęczenie księży spowiedzią, przesiadywanie u towarzyszek, byle w domu roboty nie robić, poniewieranie i szkoderzenie „grześnikom“, denuncyowanie księży nie pozwalających im na schadzki i próżniactwo religijne.

Naogół zresztą sądząc religijność podhalan, widzimy u nich szczerą pobożność — o ile mają do tego ochotę; ale niedawne uważanie księdza za najdoskonalszą pod słońcem istotę znikło już; dziś czczą go przy ołtarzu, a poza tem umieją bodaj zbyt śmiało, ostro i nawet nietolerancyjnie wobec księży wystąpić. Cechy dawniejszego pogaństwa wyraźnie mimo wszystko zabarwiły ich religię katolicką — choć dziś sta-

rannie się ze swemi pojęciami staroświeckimi ukrywają.

Zmieniły się bowiem czasy i warunki bytu na Podhalu. Dawniej obok pasterstwa, zbójnictwa, głównem — jak i dziś zatrudnieniem było rolnictwo. Nie przynosiło ono jednak plonów tak obfitych, żeby one wystarczyć mogły, zwłaszcza gospodarzom uboższym lub mieszkającym w wioskach tuż pod Tatrami, wśród wirchów, na utrzymanie całej rodziny.

Zdaje się, że w dawnych czasach poboczny zarobek stanowiła praca w „bani“, w kopalni złota, żelaza i miedzi, służba u bogatszych gazdów, pasterstwo i zbójnictwo; a kiedy robota w „baniach“ ustała, wtedy udawano się do Pesztu na robotę w cegielniach tamtejszych, albo na kośbę „do Polski“ za Wisłę, czasem na południe za Tatry, aż do „siedmiogrodzkiej krainy“, zabierając ze sobą wozy, na których przewozili do tej nieurodzajnej, ubogiej ziemi pszenicę, żyto i jęczmień i sporo grosza zarobionego.

Dziś praca w kopalniach węgla w Ameryce daje im pokaźny zarobek, a dzięki oszczędności, „utrzymliwości“ podhalan, podniósł się na Podhalu dobrobyt, o czym świadczą kasy Raiffeisena po parafiach, w których umieszczone jest po paręset tysięcy koron pieniędzy chłopskich, zarobionych w Ameryce. Ale do zarobku wszelkiego pędzi górala nie chęć użycia zarobionych pieniędzy na pijatykę i rozpustę — tylko głód ziemi, który stał się namiętnością i owładnął dziś nim zupełnie. On za te pieniądze ciężko zapracowane przykupić chce gruntu, przepłacając go nawet, gdyż za móg płaci dziś 1400—2000 koron. Wytworzyło to stosunki ekonomiczne niezdrowe. Ziemia bowiem tak nienaturalnie poszła w górę w cenie, iż wliczywszy wkład pracy około niej i nadto płacę, jaką trzeba dać robotnikowi, widzimy, że wartość zebranego plonu stoi w stosunku odwrotnym do kapitału i pracy w tę ziemi włożonej. Nadto ten sam głód ziemi, który wypędził dziś wielką część gazdów, parobczaków, dawnych robotników polnych i komorników do Ameryki po to, by za pieniądze tam zarobione przykupić tej jałowej ziemi własnej, — bardzo rzadko urodzajniejszej na dolinach — ogołocił Podhale z robotnika i dziś trzeba drogo płacić robotnikowi, jeśli się chce jaki taki plon zebrać z pola, rodującego przedewszystkiem owies. Ogólnie jednak sądząc o tych sprawach, nie można dość nadziwić się temu serdecznemu umiłowaniu podhalan swej własnej, rodzinnej, „świętej ziemecki“, dla której w światy dalekie idą, z tęskno-



RODZINA GAŚIENICÓW Z BYSTREGO.

fol. M. Mierczyńska.

ta wśród ciężkiej pracy wyglądając dnia powrotu „do swoich“.

Przy uprawie roli swej góral mimo przykładu plebanii, mimo oświaty, szerzonej przez szkoły, których w żadnej wsi na Podhalu nie brak, — pozostał konserwatystą i nie może, czy nie chce wierzyć w skuteczność nawozów sztucznych. Zakopane jednak, Poronin, Witów, Maruszyna i inne wsie zamiast siał zboże, które zbierać trzeba nieraz zielone, śniegiem przyprószone, już używają nawozu sztucznego dla uzyskania lepszej paszy dla inwentarza. Ale w innych wsiach niektórzy tylko gązdownie używają nawozów sztucznych, nie zapominając jednak o dawnym sposobie uprawiania roli za pomocą torfu i nawozu.

Przemysł domowy, obejmujący wyroby lniane i sukna, kwitnął niegdyś na Podhalu i można było, widząc górala i żonę jego, powiedzieć, że góral ubrany jest w to, co sam, względnie co Podhale jego wyrabia. Gunia, spodnie, kapelusz, kierzce na zimę na nogi, buty sukienne — wyrabiał sobie sam z wełny owczej; koszulę, spódnice „farbownicami“ zwane, rańtuchy na głowę, prześcieradła miał ze lnu własnego, z własnej przędzy i sam ją na własnym warsztacie tkął. Ale podatki, lata nieurodzaju, podział gruntów, brak już zupełny gospodarstw średnich na Podhalu i brak ludzi, umiejących robić płó-

tno i sukno — wyrzuciły warsztaty tkackie z domu, zostały one już tylko u ubogich komorników czy gospodarzy jednomorgowych. A przedewszystkiem napływ nadmierny wyrobów fabrycznych, materii na ubrania kobiece, podciął przemysł lniany i sukieny — a pomogła mu w tem zniszczeniu i chęć góralek ubierania się „paradnie“. Sukno też na cuczę i spodnie przywożą dziś na jarmark żydzi z Orawy, z fabryk węgierskich, i jako tańsze, choć 100 razy gorsze od swojego, sprzedają podhalanom, i chyba

gazda, chcący dłużej chodzić w kupionem ubraniu, zdobędzie się na kupno sukna swojskiego, przez chłopów w „folusach“ ubitego.

Znika też powoli i kyrpiec — u dziewcząt prawie że zaginął — jak znikły pasy szerokie, torby, siekierki i ciupagi. Niema na Podhalu ludzi, którzyby dźwignęli ten przemysł rodzimy, a trudby się opłacił, bo góral zdolności w tym kierunku ma, jak je ma i do handlu. Sklepu jak żyd on prowadzić nie umie, ale trudnić się „hanglerstwem“ drobnem, sprzedają kos, „siwego“ mydła, garnków, mąki, krup, to umie — a w Nowym Targu spotykamy z dziada pradiada całe rodziny stolarzy, kapeluszników, rzeźników, kuśnierzy, szewców, garbarzy, którzy stanowią tu rdzeń mieszczaństwa, to co Niemiec nazywa „bürgerliche Adel“. Słabo też rozwijają się „kółka rolnicze“ wobec konkurencji żydowskiej i chęci górali, pragnących dostać czegoś jak najwięcej przy najmniejszym wydatku własnym, rozwijają się słabo, inne zaś tylko firmę kółek noszą, a w gruncie rzeczy są „spółką spożywczą“ gromadki urzędników, spełniającą ubocznie tylko obowiązki „składnic“ dla soli „bydlęcej“ i nasion lub nawozów sztucznych, a praca dla idei ogranicza się do ciągnięcia zysku z udziałów... Brak tym inteligentom zmysłu przyciągania do siebie ludu i szerszego patrzenia na świat.

Przemysłowców jednak drobnych, t. zw. „majstrów z przywidze“ na Podhalu dość. Góral sam sobie każdą rzecz, każdy sprzęt do gospodarki zrobić umie, a jeśli nie umie, to się nauczyć chce o tyle, by choć naprawić umiał sprzęt popsuty. Wogóle uważają oni na to, by nie za wszystko, czego potrzeba w gospodarstwie, płacić — a nawet — jeśli można, drobne wydatki opędzić zarobkiem „z majsterki“. Mamy tu więc „swoich“ kowali, ślusarzy, tokarzy, rymarzy, szewców, krawców, szwaczki, muraży, młynarzy, na których „sama woda robi“; „pod hałami“ parobcy robią fajki, przekolace, spinki, cybuszki, siekierki; bacowie słynne oszczypki, parzenice i kaczki z sera owczego, a nad nich wszystkich ceni się najwyżej budarz, znający i stolarstwo, umiejący „ryzować“ sprzęty domowe drewniane. Każdy jednak z tych rzemieślników, „majstrów z przywidze“, jest nawskroś artystą, bo cokolwiek z pod jego ręki wyjdzie, to nosi na sobie cechę przebogatej jego duszy artystycznej, a góral, wiadomo, jeśli robi coś, co mu przyjemność sprawia, to robi to z nadzwyczajną ochotą, gorliwością i skrupulatnością, nie zapominając niczego ozdobić, gdyż nawet fajka gliniana, blachą otoczona dookoła, wygląda jak artystyczne cacko, z misternie wyciśniętymi na blasze orzełkami polskimi,



STARY GASIENICA Z BYSTREGO.

fot. M. Mierczyńska.



fot. J. Jaroszyński.

PASTERZE NA HALI

a jej przykrywka ozdobiona jest wiszącymi wokół kółeczkami mosiężnymi, a na czubku stoi metalowy kogut.

Najwięcej jednak tego poczucia piękna, artystycznego, mającego cechy samorodności, posiada „budarz“, cieśla, co widać nie tylko w oryginalnej budowie „płazówki“, chałupy jego, ale i w zdobnictwie sprzętów gospodarskich. Ten staroświecki sposób spajania węglów chałupy w „zamek“, czy w „rybi ogon“, wiązba dachu z jego „szczytem“ i „okapem“ — nadto zdobnictwo sprzętów — są jakby arką, w której się zachowała czysto swojska, podhalańska sztuka. I choć dziś, z obawy przed pożarem, spotkać już można na wsiach coraz częściej domki murowane na sposób pańskich folwarków, dworców z „gankiem“ na przodzie, opartym o 2 filary — to jednak góral z tej kultury murowanej pańców nie przyswoił sobie wiele, lecz został przy drzewnej i w niej na artystę prawdziwego wyrósł — dając w budowaniu swej chałupy i swojego sprzętu wyraz swoich wyższych potrzeb estetycznych, które dziś zachłanność na dochód z czynszu zniszczyć usiłuje. Ryzowanie, gadzik, gałazki, mierwa, zabiec, cyfrowanie, krzyżyki, koła, pazdury, gwiazdy, parzenice i leluje — oto środki ornamentacyjne nie tylko dachu, „szczytu“, „sosrębu“, drzwi, listew, stołów, „truchlic“ (skrzyń), serdaków, kozuchów białczańskich, ale i czerpaków, lyżników, ciupag, siekier, kijanek, „stepek“, „trojacek“ (miedlic), okucia żelaznego i ubrania.

A ta przebogata ornamentyka ludu polskiego, która się tu przechowała w nieskalanej czystości i całości, jako wytwór samorodnego ar-



tyzmu, świadczy o niezwykle bogactwie duszy górala i o jego wyrobionym smaku estetycznym. Jednak byłaby się stała nieużytkiem, ba, co gorsza, byłaby zaginęła przez brak poczucia artystycznego u tych, którzy na Podhalu przybywali „na czenie”, gdyby nie byli w niej dostrzegli siły żywotnej Chałubiński, pp. Dembowski, Matlakowski — a przede wszystkim gdyby potężny umysł artystyczny nią się nie był zaopiekował. Opiekunem jej i rewelatorem stał się St. Witkiewicz.

On to dostrzegłszy w sztuce Podhala wyraz duchowy ludu polskiego, poznawszy jej artystyczną i społeczną wartość, przekształcił ją na sztukę całego społeczeństwa polskiego. I przez niego narodziła się ona potęgą swej idei, bogactwem treści sztuce narodowej; on to spotkawszy na miejscu twórcę tej sztuki „budarza”, wykształcił go i dzięki niemu zjawiać się zaczęły w Polsce „koleby” na wzór zakopiańskiej, a na Podhalu widzieć można coraz częściej naprawdę artystycznie zbudowane i zdobione chałupy.

Witkiewiczowi też zawdzięcza Podhale swoje odrodzenie stylowe na polu budownictwa, i może kiedyś stanie się to, czego pragnął „Zjazd inteligencji Podhala”, by każda szkoła na Podhalu, dom każdy, gmach publiczny, miał cechy stylu rodzimego.

Prócz odrodzenia budownictwa i sprzętów zdobnictwa, *Spiritus Creator* Podhala zasilil i język ojczysty gwara tego ludu, który zachował mowę przodków, jej moc i czar. I kiedy Witkiewicz dla sztuki podhalańskiej wywalczał należne miejsce w sztuce narodowej, to Dembowski a za nim inni spisywali wyrazy, zwroty, przysłowia tego ludu, wzbogacając nie tylko słownictwo polskie, ale pośrednio także historię języka ojczystego i literaturę. Jak bowiem styl budownictwa swą oryginalnością i bogactwem ornamentów okazał duszę górala, tak samo i gwara jego odzwierciedla nam wszystkie cechy tego umysłu wrażliwego, jego oryginalność i bogactwo.

Prawie każdy góral jest urodzonym mówcą. Opowiadając, cały się temu opowiadaniu poświęca, przeistacza się w zupełnie innego człowieka, pragnąc każdy szczegół, myśl, ruch plastycznie i barwnie przedstawić. Stąd gdy słowa uważa za niewystarczające, porównania bardzo często iście homerowskie za zbyt słabe wrażenie wywołujące — umie się przedzierać w postać, o której opowiada, i ruchami, gestami, zmianą tonu i barwy głosu, a często znaczącym milczeniem, tajemniczym niedomówieniem, symbolami nieraz, stara się oczarować słuchacza, i mo-

żna bez przesady twierdzić, że zawsze z dobrym dlań skutkiem, bo słuchacze *intenti ora tenent*.

Ścisłe naukowych badań w tym kierunku o gwarze Podhala jeszcze nie mamy. Zrobić je może tylko podhalanin poświęcający się filologii, językoznawstwu. Dotychczasowe zaś prace noszą na sobie piętno dyletantyzmu, gdyż robione są przez ludzi, którzy dla usłyszenia jakiegoś dźwięku głosowego przybywają na Podhale na miesiąc, dwa, a najczęściej na parę dni czy tygodni, a potem piszą o gwarze Podhala cudaczno-uczone rozprawy językowe, z których inteligent-góral cicho się śmiać musi, nie chcąc być uznanym przez „uczonych” za „nieuka” (!)...

Do czasów Witkiewicza, K. Tetmajera, Stopki i t. d., patrzano na gwara podhalan, jakby na zjawisko filologiczne — o wykazanie jednak w niej i wydobyć z niej artyzmu, czaru, piękna, mocy, siły, wogóle jej wartości literacko-artystycznej nie dbał nikt — jak nie patrzano i w żywotną siłę ducha podhalan, ich podań, wierzeń i obyczajów. Kiedy drugiemu temu zadaniu starają się uczynić zadość inteligenci podhalanie, pierwsze wziął na się nieśmiertelnych dla Podhala zasług Witkiewicz, a zasilil nią literaturę ojczystą niezrównany władca tej gwary K. Tetmajer, największy liryk i epik doby obecnej.

I wkroczyła ta gwara podhalan, pełna czaru, mocarnej siły, epickiego majestatu, obrazowości, symbolów, niedomówień, uzbrojona w znajomość Psychy tego ludu — do literatury, zrazu nieśmiało, wnet potem brylantami skrząca jako nowela, wreszcie jako epos ludowe prozą śpiewane w dziełach K. Tetmajera: „Na Skalnem Podhalu” i „Legenda Tatr”. Za Tetmajerem, jak za orłem, wzlecieli na te wyżyny krzesanic tatrzańskich i inni — ale swojacy już, podhalanie rodzeni. A ten ruch, jakiego świadkiem jesteśmy na Podhalu, miał tę dobrą stronę, że obudził do życia uśpione w tym ludzie zdolności twórcze literacko-artystyczne i zapoczątkował powstanie t. zw. „szkoły podhalańskiej” w literaturze polskiej, jeśli o „szkołach” w literaturze wogóle mówić można. I dziś zjawily się w literaturze rodzimej postacie pisarzy takich jak przede wszystkim Wł. Orkan, a po nim Gwiżdż, J. Jedlicz-Kapuściński, Z. Lubertowicz, J. Lenart, A. Galica, W. Brzega, A. Suleja. Każdy z nich piszący w innym kierunku, każdy o własnej, odrębnej fizyognomii, — a jednak znać w nich podhalan, czuć w nich bicie polskiego serca, umiłowanie ludu własnego, Tatr ukochanych i całej przyrody, która ich wychowała. I może być, że spełnią się słowa mocarnego pisarza Podhala, K. Tetmajera, wypowiedziane w czasie 25-le-

niego jubileuszu: „Pragnę, aby z Podhala wyszedł epos—równy co do potęgi „Panu Tadeuszowi“....

Do przyszłości też należy większe zajęcie się pieśnią i muzyką tego ludu.

Pieśni Podhala zawierają w sobie wartość niepoślednią dla rozwoju literatury artystycznej Podhala i Polski, nie tylko przez ich artyzm, ale i przez to, że w nich najlepiej się odbijają uczucia podhalańskie. Dziś są to tylko krótkie śpiewanki miłosne, wojackie, pasterskie, zbójckie czy okolicznościowe, nie rzadko przedziwną satyrą będące—przed wiekami jednak musiały one być dłuższe, choćby np. ta pieśń: „Handziu moja puść du domu“ zapisana przez Goszczyńskiego—ale z czasem, jak „bicz koralu“, rozprysły się one na cząstki tak drobne, że nieporadą dziś byłoby zebrać je w całość pierwotną... A przecież z takich cząstek pieśni ludowych powstała epopeja fińska: „Kalewala“... Podhale do środków takich uciekać się nie potrzebuje, bo i bohater ma jakby umyślnie dla epopei stworzonego przez przeszłość, a jest nim wcielenie historii Podhala, siły, sławy i wielkości jego — Janosik, ów harnaś zbójnicki, marzenie dziewcząt i parobków na Podhalu.

Na wielką również uwagę zasługuje muzyka Podhala, ta właściwa mowa pieśni i uczuć ludu. Tu zaś należy przedewszystkiem raz już odeprzeć stanowczo owo niesprawiedliwe szemranie ignorantów, groteskowych muzyków, twierdzących, że muzyka Podhala jest mdłą, jednostajną, beztreściwą. Na odparcie tego wystarczyłoby mi tylko przytoczenie utworów Paderewskiego i Karłowicza. Każdy, kto słucha muzyki ludowej bez małostkowego uprzedzenia, ale z chęcią poznania jej motywów, wyrazu duszy ludu, ten w muzyce góralskiej znajdzie nadzwyczaj wielkie bogactwo melodyi, odróżni w niej najsłabsze drgnienia duszy podhalańskie, jego namiętność pierwotną, temperament, żywość, a nieraz obok cichej, tęsknej nuty odezwie się namiętna, dzika i groźna melodia marsza czy tańca zbójckiego, melodia, która stawia nam przed oczyma groźnych i śmiałych zbójników, towarzyszy Janosikowi, pierwotne dusze Podhala. Pamiętać też musimy i o tem, że jedną i tę samą melodię śpiewa góral w różnym usposobieniu, zależnie jaki stan duszy wygraćby chciał na gęśli. Słusznie też mówi Witkiewicz („Na przełęczu“) o muzyce góralskiej: „W gędzioleniu ludowej muzyki leży materiał dla talentu, który ten prosty motyw ludowy rozwinie, włoży wń zdobycze swej sztuki i nie zatraci charakteru jej ludowego, a wzbogaci przez to wszechludzką cywilizację nowym wyrazem ducha“. Ci więc,

którzy muzykę Podhala poznać pragną, powinni jej słuchać z sercem lud miłującym, a wówczas przekonają się, że słusznem jest także to umiowanie muzyki swojskiej, staroświeckich nut przez Zwyrtałę, którego K. Tetmajer wprowadził w IV t. dzieła p. t. „Na Skalnem Podhalu“.

A praca nad poznaniem szczegółowem objawów wszelkich duszy i życia Podhala jest konieczna i nie powinno się odkładać jej na lata, lecz rychło do niej przystąpić, bo z pewnością nigdzie nie odbywa się tak szybka ewolucja Psychy wśród ludu, jak właśnie na Podhalu.

Nie ulegać zaś tym zmianom, wpływom zewnętrzny podhalańskie nie mogą, gdyż ani temperament, ani wrażliwość ich nie są tak odporne, by mogli oprzeć się pokusom nowości, a letników, gości, z rokiem każdym przybywa coraz więcej i nieraz w Zakopanem na Podhalu góral jest świadkiem ścierania się przeróżnych czynników, spraw, kierunków czy to natury politycznej, społecznej czy ekonomicznej. A choć w tem udziału bezpośredniego, czynnego nie bierze, jednak dochodzi to do jego wiadomości i często spaczane pojęcia w nim wyrabia. Fala ludzka zalewa z coraz większą siłą Podhale, jego pojęcia i świat wyobrażeń niszczy, nie chce pamiętać o tem, że góral nasz chce mimo wszystko zostać chłopem, rozum chłopski zatrzymać w dawnej sile i czerstwości; — a wzajemian za to rugowanie z duszy podhalańskie pierwotnych a zdrowych pojęć, zapycha skrytki jego duszy „wytartymi liczmanami cywilizacji“. Ta zaś przemiana odbywa się—zwłaszcza w Zakopanem—tak nienaturalnie, robiąc tak wielkie szczyby w życiu górali, pacząc i karykaturując ich dusze, ich pojęcia etyczne, że naprawdę uwierzyć się musi słowom K. Tetmajera: „Tam gdzie dziś Zakopane, powinien rosnąć smrek a nie rzepa!“. Z dawnego gazdy zrobili letnicy chłopca o manierach pańskich, który zrzuciłby i resztki swego stroju, byle mógł wiedzieć, że przez to sielankowo dlań nastrojeni goście będą nadal z uwielbieniem nań patrzyli, a on zysk mieć będzie z tego.

Inny świat, innych ludzi zastali tu niegdyś Pol, Goszczyński—wymierające już tylko staroświeckie pokolenie widział T. Chalubiński. Ale ci, dla których zdrowia ciała i dusz stworzył Chalubiński wrota Tatr—uderzeni niezwykłą przyrodą, oryginalnymi cechami duszy ludu, jego pięknym strojem, zachowaniem się pełnem osobistej godności—nie umieli z zachwyty zorientować się w sytuacji, zapomnieli o pracy wśród ludu „dla jutra“, czy też pracować tak nie umieli, by tę duszę górala wzbogacić, ale ani z dawnej

drogi jej nie zepchnąć, ani jej nie spaczyć wszczepianiem zasad i pojęć dla ludu nieprzystępnych. Ponadto nie brakło i takich, którzy siali tu demoralizację, uczyli rozrzutności, rozpajali lud, zachwycali się chłopem jako przewodnikiem, a poza tem traktowali go „z góry“, choć im to nie szło gładko. Ale dziś już zakopiańskich gazdów dziewczki, gazdziny dawne, na „panie“ się poprzebierały—manierę pań źle wzięły—a tak samo wnet będzie można mówić i o chłopie zakopiańskim. Ucywilizowana inteligencja wogóle powinna była, przyszedłszy na Podhalę, pamiętać to, do czego Pol ją nawoływał:

„Bo na to, byście stąd wracali krzepi—
Na duszy waszej i w ciele wzmocnieni,
Potrzeba, byście tu przybyli lepsi,
A ludzie po was nie byli zgorszeni“.

Wszelki zaś postęp u ludu nie może iść drogą nagłą. Lud—a zwłaszcza górski—jest tylko pozornie konserwatywnym, jak pozornie konserwatywną jest i wychowawczyni jego, natura. Wszak i w naturze są ciągle zmiany, ale dostrzedz ich nie można nagle, w szybkim czasie, więc i dążenie do nagłej przemiany duszy ludu wywołać musi pogorszenie a nie polepszenie. O tej zasadzie pamiętał pierwszy apostoł Podhala, ks. J. Stolarczyk, mówiąc: „Ducha ludzkiego na kolanie nie złamie“. Pamiętali o tem Chałubiński i wszyscy ci, którzy z nim tu pierwsi przybyli owiani duchem miłości Tatr i ludu podhalańskiego. Lecz zbyt gwałtowny napływ ludzi do Zakopanego i na Podhalę—przyniósł ze sobą niezgodę wielkomięską, gmatwaninę pojęć i zasad, któreby ci ludzie chcieli na Podhalu zaszczerpić, nie zadając sobie nawet trudu poznania duszy Podhala i warunków jego ekonomicznych czy innych.

Pracy też na Podhalu zostaje aż nadto dla energii każdego miłośnika ludu. Na polu ekonomicznego podniesienia należałoby przystąpić do organizacyi kółek rolniczych, spółki mleczarskiej, wyrobów sera podhalańskiego, wyrobów płóciennych, sukiennych, koszykarstwa, garncarstwa, gdy i materiału do tego nie brak; dalej do podniesienia rolnictwa przez założenie zawodowej szkoły rolniczej, któraby liczyła się z wydajnością gleby tutejszej, nie wszędzie jednakowej, i podniesienia chowu bydła i owiec. Że na tem polu możnaby dużo zrobić i znalazłby się u ludu materiał odpowiedni, nie ulega to wątpliwości, ale praca ta wymaga poświęcenia się jednostek i opieki odpowiednich władz. Jednakże tak w tej pracy nad podniesieniem dobrobytu materialnego, jako też i w pracy nad oświatą, należy dążyć nie do własnej korzyści, lecz dbać o dobro ludu—a przede wszystkim unikać dzie-

lenia go na partje polityczne i zatracania jego odrębnych cech etnicznych, które właśnie w ciągu wieków zrobiły górala takim, jakim on przed laty był, t. j. góralem—chłopem—polakiem, mającym grunt moralny trwały i piękny.

Do tej pracy w pierwszym rządzie powołani są synowie tego ludu, księża w tutejszych parafiach i nauczycielstwo ludowe, a obok nich jednostki te, które przybywają tu jako „goście“ na lato. Niestety, wśród synów góralskich inteligentów, mało takich, którzyby chcieli zejść do braci swoich. Nieszczęsne arystokratyzowanie się, zmienianie nazwisk ojcowych na „pańskie“, przejście się manierami pańskimi bez zdolności przyswojenia ich sobie tak, by po cholewach panów górali nie poznano, chęć lokajstwa zamiast ojcowskiego poczucia „ślebo dy“, „bezpańskości“—nie wróży dobrze o podhalanach. Z nich rzadko który przybywa tu dla podzielenia się ze swą wiedzą z braćmi, za to wielu z nich, zwłaszcza księża-górale, patrzą na towarzyszy dawnych jakby na niższych; zdaje im się, że podanie im ręki do pocałowania, nawet starcom krewnym, podniesie moralność, oświatę i dobrobyt ludu, a im samym pomoże blask swej wielkości i majestatu spotęgować. Śmieszne to i bolesne—a jednak prawdziwe, i tu przy omawianiu przyszłej pracy na Podhalu podniesione być winno. Może jednak wiele na wszystkich polach pracy na Podhalu zrobić istniejący w Zakopanem, a coraz szersze kręgi zataczający „Związek górali“, do którego należy też pracowitsza, a chcąca utrzymać ciągłą styczność z podłożem ludowym inteligencja, z Podhala pochodząca. Zjazd tej inteligencji odbyty po raz pierwszy w sierpniu 1911 r. w Zakopanem uchwalił szereg wniosków, mających na celu podniesienie materialne i duchowe Podhala, nie zapominając i o instytucjach takich jak Muzeum tatrzańskie i o zachowaniu cech odrębności etnicznej.

Doprowadzić do skutku te wnioski, Podhalę rodzime podnieść—oto cel inteligencji góralskiej na przyszłość, a do tego celu winno się dążyć z ludem, i nie przodownikami się głosić, lecz bratem i dawnym towarzyszem jego.

Dewizą w tej pracy winno być przysłowie góralskie: „Hól na Babiom Góre jescze nik nie przeniósł, ani nie przeniesie — ale ono ta wse trza jino robić, to sie robi, jak Bóg da“.

Józef Kantor.

LITERATURA:

- S. Goszczyński. Dziennik podróży do Tatrów.
L. Zejszner. Pieśni ludu Podhalań. Warszawa, 1845.
W. Pol. Obrazy z życia i podróży. Wrocław, 1846;
Kraków, 1869—71. 2 tomy.

Dr. E. Janota, Przewodnik na Babią Górę i do Pienin. Kraków, 1860.

W. Eliasch, Ilustrowany przewodnik do Tatr, Pienin i Szczawnic. Poznań, 1870.

B. Gustawicz, Kilka wspomnień z Tatr. Wędrowiec, 1879.

W. Anczyk, Zakopane i lud podhalski. Tygodnik ilustrowany, 1874.

A. Wrześniowski, Tatry i Podhalanie. Kraków, 1882.

St. Witkiewicz, Na przełęczy. Lwów, 1906.

J. Kantor, Czarny Dunajec. Monografia. Kraków, 1906.

A. Stopka i J. Kantor, Materiały do etnografii Podhala. Kraków, 1896.

A. Stopka, Sabala. Kraków, 1897.

Poszczególne rozprawy, dotyczące się ludu podhalańskiego i życia jego, zamieszczone są w Sprawozdaniach komisji etnogr. Akademii Umiejętności w Krakowie, w rocznikach „Wisły“, „Ludu“ i „Pamiętnika Towarzystwa tatrzańskiego“.



Tatry w zimie.

Demokratyzacja społeczeństw europejskich, zwycięskim pochodem przeszedłszy przez wiek XIX, nie ustala w zaborczej swej walce. Jesteśmy dziś, jak przed pół wiekiem nasi ojcowie, świadkami nieustannego zmagania się humanitarnych idei, głoszących prawo do życia i szczęścia każdego człowieka, z przeżytkami dawnych pojęć i urządzeń, opartych na zasadzie przywilejów.

Stopniowe te przemiany w całokształcie życia narodów wyciskają swe piętno w każdej dziedzinie, na każdej jednostce i instytucji. Wycisnęły je też na stosunku społeczeństwa naszego do Tatr.

Na pozór paradoksem wydać się może zastanawianie się nad stosunkiem społeczeństwa do Tatr, stosunkiem żywego organizmu do skrawka martwej przyrody — paradoksem, a nawet śmiesznością. Tak wszakże złożyły się warunki życia naszego, iż porównanie takie nie jest ani śmiesznością, ani przesadą.

Tatry są naszą pustynną świątynią; z nich siła ożywcza promieniuje na całą krainę, gdzie mowa polska rozbrzmiewa.

Ewolucja społeczeństwa w kierunku demokratycznym w Tatrach wyraża się przede wszystkim wzmogoną frekwencją.

Niedostateczność środków komunikacyjnych, mała stosunkowo znajomość gór za czasów Chałubińskiego i hołdowanie zasadzie chodzenia wyłącznie za przewodnikiem były głównymi przyczynami, że były one za owych czasów przy-

wilem ludzi wybranych. A dziś? Tysiące turystów w ciągu paru letnich miesięcy przechodzi przez Tatry. Stają się one magnesem dla coraz liczniejszych miłośników ich piękna i majestatu, a siłą fatalistyczną dla wielu wybrańców, którzy węzłami taternictwa na zawsze się z nimi związali. Dużo się dzisiaj mówi i pisze o potrzebie wywłaszczenia całego obszaru Tatr polskich na rzecz społeczeństwa i uczynienia z nich czegoś w rodzaju parków narodowych Ameryki i Australii, ściślej — pustkowi pierwotnego, w któreby nie sterczały zapłotki, nie dzwoniły tramwaje, a badawcze oko z nad półkłężyca nie mierzyło od stóp do głowy każdego przechodnia; gdzie przyroda nie wspomagana kulturą ani pseudokulturą pozostawiona byłaby własnemu losowi; gdzie każdemu wolno byłoby iść, patrzeć i dumać — za wyjątkiem tych barbarzyńców współczesnych, którzyby pierwotność tej przyrody niszczyli.

I dojdzie do tego. Stanie się tak, jeżeli nie dziś i nie jutro, to „dnia trzeciego przeznaczeń“.

Wówczas góry nasze utracą wiele ze swego uroku pustyni, gdyż ludniejsze jeszcze będą niż dzisiaj. Nie będzie można, jak dziś jeszcze można, zaprzepaścić się gdzieś w krainie turni, zbratać się z tą ziemią granitów i samemu stać się jej częścią.

Jak dziś jeszcze można.

Jest to jednak „konieczność dziejowa“ — lepsza od innych, bo nie zachłanna i nie sob-



kowska. Jej przyjście przyspieszyć powinniśmy. Tak Tatry wyglądać będą w przyszłości, a stosunki dzisiejsze dają już przybliżone pojęcie o tym obrazie.

Jest jednak obszar w nich nowy, mało jeszcze zbadany, któremu przeludnienie nie grozi.

Ten kraj—to Tatry w zimie. Kto widział morze, kto zna z opisów lądy podbiegunowe, ten zdoła wyobrazić sobie tatrzański krajobraz zimowy.

Zdarzyło mi się oglądać dalekie północne krainy i po morzach polarnych żeglować; widziałem posępne skały przylądka Woronowa na skraju morza Białego i straszliwe widmo Nord-Kapu wynurzające się z fal oceanu Lodowatego, wszelakie wyspy bezludne ze świecącymi na górach ich lodowcami, a jednak Tatry — śmiem twierdzić — nie ustąpią w pustynnym

Niema w nich życia podczas długiej zimy: bezbrzeżna pustka i cisza nawet w powodzi słonecznych promieni przygniatająca martwością, straszliwa groźbą swego milczenia, potężna bezwładem. Nirwana granitów! Jedyne dźwięki, jakby szept modlitwy idący z zaświatów, to chrzęsty lodu, spadającego z turni, i szmer śnieżnych drobin przesuwających się w granitowych łóżyskach. Słychać tętno krwi własnej. Nad głową lazur czarny nieomal, na którym gwiazdy niekiedy w dzień biały można oglądać¹⁾ — również niemy jak u stóp śnieżna pustynia, równie bezduszny i mroźny. Ani dzwonek, ani nawoływań juhasów, ani gwaru potoków, ani grzmotu siklaw spienionych. Całe życie Tatr kędyś znikło, rozproszyło się, zduszone zostało pod śniegiem i lodem...

Cisza...



LAS ZNISZCZONY PRZEZ LAWINĘ W ROZTOCE.

fot. Zarzycki (ze zb. firmy „Tatry”).

swym majestacie czarowi tamtych krajów dalekich.

Według trafnego porównania W. Pola, Tatry ośnieżone wyglądają „jak potopu świata fale, zamrożone w swoim biegu”. Istotnie, proszę spojrzeć na nie od Nowego Targu, lub jeszcze dalej — a obraz poety przybierze kształty realne: cząstka chaosu kosmicznego z najpiękniejszych dni tworzenia się świata żywiołową siłą przechowana do dni naszych — zastygła, zamarta.

Nad przepaściami zwisają z grani ciężkie girlandy; koronki misterne zdobią czoła turni odzianych w przepyszne edredony lodowe, które wiatr mroźny podczas zawiei nastrzępił — a szron później wygładził i w puch lotny ozdobił; mosty śnieżne łączą iglice na grani, opancerzone skorupą lodową; lśniące pola spadają

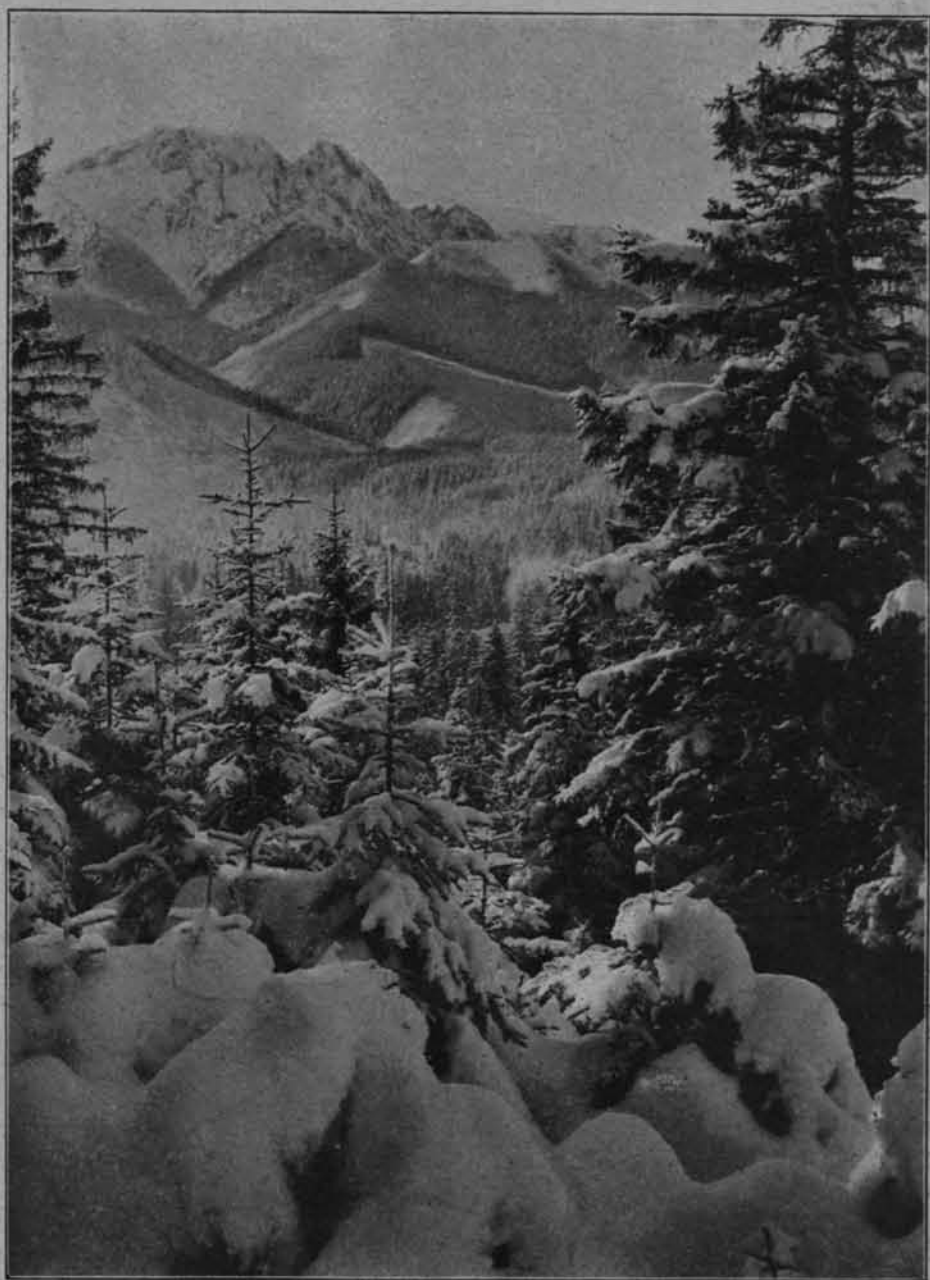
¹⁾ Dwukrotnie w Tatrach w słoneczny dzień zimą na czystym niebie gwiazdy widziałem; raz o godzinie 8 rano, drugi raz w południe. *Przyp. aut.*

potężnymi ścianami na brzegi stawów, których istnienia tylko z gładkości równi białych domysleć się można. A wokół stawów, przykryte grubą powłoką ostatnich śniegów, wydymają się garby ogromne — jakieś cielska potworne, pogrzebane tu dawno: to stare lawiny, co w czas zamętu z gór okolicznych zwały się na dół, niosąc śmierć temu, co zimie się jeszcze ostało.

A kiedy wiatr halny obróci się na orawski i białe chumrzyska poczną się tłoczyć nad Osobitą, śpiesz się, człowieku, z powrotem do swej siedziby, gdziebądź cię wichura zaskoczy: na hali, w lesie albo na grani. Śpiesz się, zanim cię mrok biały pochłonie, jak ton morska pochłania kruszynę skały nadbrzeżnej... Huczy wichura, łopoce; gną się smreki w dolinach, trzeszczą i padają jak żołnierze w szeregu; zniknął świat cały w za-

męcie: nie widać nic — ni ziemi, ni nieba — tylko słychać rozpetanie się groźnych żywiołów i walkę niewidzialnych potęg; od czasu do czasu nad wszystko wybija się grzmot straszliwy, od którego — zda się — drżą góry w posadach: to śnieżna lawina runęła w przepaść... pokotem legły gdzieś lasy, odłamy skał śmignęły w powietrzu, poszły z nimi kosówki, a może i kozice, szalasy pasterskie i ludzie, jeśli w nich przypadkowo schronienia szukali!

Pół roku Tatry mają na sobie pancerz śnieżno-lodowy i przez pół roku są szczerą pustynią, w której tylko z kozicą, lisem i orłem



fot. J. Lande.

GIEWONT Z ANTOLÓWKI.

spotkać się można: niedźwiedzie i świstaki w sen zapadają na zimę, śladów innych zwierząt również nie znaleźć.

Od r. 1907 — wraz z założeniem obecnej Sekcji Narciarskiej Tow. Tatrzańskiego i rozpowszechnianiem się stopniowem narciarstwa — poczęli licznie zaglądać w góry turyści. Z roku na rok liczba ich rosła i oto dzisiaj w niektóre dni, jak święta Bożego Narodzenia i Wielkiej Nocy — roi się od narciarzy w pobliskich dolinach, na łatwych przełęczach i szczytach. Lecz w głębi Tatr panuje ta sama cisza podbiegunowej pustyni, co w dniach pierwszych



NARCIARZE NA SKUPNIOWYM UPLAZIE.

fol. Zarzycki (ze zb. firmy „Tatry”).

stworzenia. Tam siłą rzeczy demokratyzacja wpływami swymi nigdy nie sięgnie i pozostaną regiony te własnością ludzi wybranych — ludzi szczególnie silnie tęskniących za majestatem i pustką obszarów bezludnych, do nikogo nie należących, nie przydatnych na nic nikomu, milczących i zapomnianych. Ludzi, mających w duszy swej wiele pierwiastków wspólnych z samojedami i Amundsenem.

Ci pokonają niewygody, trudy i niebezpieczeństwa, ażeby parę dni spędzić na skraju niemal świata, gdzie żadnych już ech ludzkiego życia nie słyszeć, gdzie „zima siedzi“, a „orły drog nie wiedzą, kończy się chmur jazda...“

Cała przepaść dzieli turystykę górską zimową od letniej; wytworzyły się w zakresie pierwszej specjalne sposoby, nawet specjalna technika zimowa, która w Tatrach samorzutnie się rozwinęła i już istnieje wbrew opinii niektórych niedowiarków uparcie obstających przy swych twierdzeniach, że jedna jest technika chodzenia po górach — mianowicie ta, znana nam z lata.

Już samo posługiwanie się z konieczności na wycieczkach zimowych nartami, wprowadza zmiany zasadnicze w sposobie traktowania wycieczek, w układaniu marszruty i t. p.

A skały? a drogi zimowe? Wszystko jest inne i zawiódłby się ten, kto chciałby na podstawie doświadczenia z letnich wycieczek odbywać wycieczki zimowe. Przedewszystkiem na śniegu niema dróg żadnych: żadnych perci, klamer,

łańcuchów ni drogowskazów. Teren i jego rzeźba jest prawdziwie „białą do pisania kartą“, na której wykreśla się nartami albo rakami drogi przebyte; zaś o tych, które przebyć mamy, można powiedzieć, że wszystkie są „wolne“ — nawet te, na których śmierć czyha w postaci zamaskowanej lawiny. Wielkie tu pole do popisu i ćwiczenia się w samodzielności, jak również w umiejętności oryentowania się, wśród tylu różnorodnych czynników jak: te-

ren, temperatura i stan powietrza, stan śniegów, wreszcie zasób sił własnych i doświadczenie. A siły martwej pustyni zawsze są czuwające i czekają na słabego lub lekkomyślnego wędrowca, ażeby na nim zemstę swą wyrzucić za zakłócenie ich snu zimowego; jeśli go lawina nie weźmie, zamieć nie powali — to może mróz lodowymi palcami udusić, albo mgły białe omamić i wodzić w kółko, dopóki człowiek nie padnie.

Nawisy i konie śnieżne na graniach, twarde szreni lodowata na stromych stokach dopełniają szkicowego obrazu trudności, z którymi się liczyć musi turysta. Nad wszystkie jednak groźniejsze są śnieżne lawiny. Tworzenie się i spadanie ich zależne jest od pomyślnego układu licznych czynników, działających równocześnie, na których omówienie nie pozwalają mi ramy artykułu. Powiem tylko, iż spadają one w Tatrach od połowy stycznia do połowy czerwca, najczęściej w godzinach od 11 do 3 po południu, często wszakże i w godzinach porannych, a nawet w nocy. Rozmiarów dosięgają olbrzymich. W dolinie Cichej, Rybiego Potoku, Jamnickiej, i wielu innych dziś jeszcze można oglądać ślady lawin, spadłych w ostatnich trzech latach, które to lata były w lawiny szczególnie obfite. Szły tam wielkie rzeki śniegu, łamiąc w paru minutach łąny starodrzewu, druzgocząc szałas, zrywając prądem powietrza dachy z budowli; spadając ze stoków po jednej stronie doliny, przebiegały ją w po-

przek i na paręset metrów wciągały się na stoki przeciwnie. Podobne były do wezbranego potoku górskiego, tylko bez porównania większe od niego, a białe chmury śnieżnego pyłu zasłaniały obraz zniszczenia.

Urok Tatr polega na pierwotności ich dzikiej przyrody. I pomimo wszystko, gdyby nawet przez masowy napływ turystów ta pierwotność utraciła swój charakter właściwy, — pozostałyby Tatry zimowe — góry szklane, o których prawią bajki dziecinne — Tatry, osłonięte lodową i śnieżną zbroją, niedostępne dla najszerzszych mas, szukających na łatwych ścieżkach wrażeń



fol. S. Ząyb (ze zb. firmy „Tatry”).

POD SZCZYTEM ŚWINNICY.

popularnej turystyki. Tatry pustynne, świątynia ciszy i dumań najszczerzych dla wybranych a miłujących je taterników.

Maryusz Zaruski.



Gwara podhalańska.

Nielatwo napisać popularny, a przecież na naukowych podstawach oparty artykuł o mowie Podhalań. W ostatnich latach tak wielką odegrała ona rolę w naszej literaturze, w górach tak dalece jesteśmy pod jej urokiem, że koniecznym niejako wydaje się oceniać ją także pod względem artystycznym. Tymczasem próby ścisłego badania języka jako obiektu estety-

cznego nie wyszły jeszcze poza tezy ogólne. Zachodzi też niebezpieczeństwo uogólnienia indywidualnych zdolności stylistycznych. Sabały czy innego opowiadacza, gdy w nauce idzie o ujęcie, charakterystykę tego, co w danym języku czy gwarze naprawdę jest powszechne. Nie chcąc jednak przeczyć, że tak powszechne uznanie piękności tej mowy musi mieć także

realne podstawy, spróbuję na podstawie gramatycznego szkicu rozważyć, co w niej i dlaczego takie na nas wywiera wrażenie.

Na wstępie jednak zastrzeżenie: bez wątpienia mowa ta inaczejby brzmiała dla ogółu, gdyby nią mówił lud nieciekawym, mieszkający na jakichś piaskach, ubierający się w znoszoną miejską tandetę, i t. p. Wiem, że stawiam przypuszczenie niemożliwe: w banalnych warunkach nie powstałby świat tak odrębny, a mowa napewno zależna jest od całego stanu kultury. Chcę tylko przestrzedz, by nie żądano od językoznawcy wyjaśnienia tego, co równie dobrze należałoby do etnografa czy artysty. Poetyczną charakterystykę tej mowy, jej znaczenia dla narodu, dał np. Witkiewicz („Na przełęcz”, wyd. II, str. 93 nn.)—ja przystępuję do określonego wyżej zadania.

Gramatycznie biorąc, nie wyróżnia się gwaru podhalańskiego zbyt jaskrawo od innych. Nietylko nie można porównać jej samodzielności z kaszubszczyzną, ale nawet nie odrzyna się ona wyraźnie od gwaru przyległych. Jak widać z mapy dialektów polskich, dołączonej do mojej „Mowy ludu polskiego” (Kraków 1911), jest to tylko południowa część dialektu małopolskiego, łącząca się też częściowo ze Śląskiem. Wiele cech, uderzających w niej ucho wielkopolanina czy warszawiaka—że już pominię polaków z „krajów zabranych”, znających język polski tylko w postaci dialektu kulturalnego, książkowego—wspólnych jest Podhalu ze znaczną częścią Małopolski, a także i z językiem staropolskim, chociaż oczywiście nie brak i właściwości samodzielnych, wytworzonych przez odrębne życie kulturalne Podhala lub czerpanych z poza Polski, z południa.

W zgodzie z całą prawie Polską ludową mowa podhalańska zachowała konsekwentnie samogłoski ścieśnione, nietylko *ó* i *ą* (nosowe *o*), ale też *é* i *ä* (= *o*). Mówi się tu więc *róg—rogi*, *zaprząg—zaprzęgla*, a także *śniyg—śniega*, *biyda*, *wiym* i *spod—spadła*, *sioć*, *bracio*; nowopolskich tendencji, jak w Łowickiem *śnieg*, *bieda*, *grzech* lub w Mazowieckiem (np. Łomżyńskiem) *spad*, *siac*, *trawa*, niema tu zupełnie. Z całą Małopolską i Mazowszem wspólne jest Podhalu t. zw. „mazurzenie”, tj. wymowa: *zółty*, *nóz*, *sukać*, *kapelus*, *cekoj*, *corny*, *jezdrom*, przy konsekwentnem zachowaniu się *rz*: *rzyka*, *przidzie*, *prziseł*; niema tych drugorzędnych *zyka*, *kozeni*, spotykanych wprawdzie czasem i w prawdziwej mowie chłopskiej, np. na pograniczu niemazurzącej Wielkopolski i mazurzącego Łęczyckiego, częściej jednak w nieudolnych

pseudo-ludowych naśladowaniach. Jak w całej wreszcie Wielkopolsce i Małopolsce, tak i tu zachodzą w toku mowy charakterystyczne zmiany końcowych spółgłosek, np. *dydzieg nidge nie ukrod* 'dyć-em (przecież-em) nie nie ukradł', *jezdek* 'jestem', *juzek bół*, nie 'Józek' ale 'już-em', w warszawskiej wymowie 'jusz-em był'. Zachowuje się też zębowa *ł*: *głowa*, *siedziół*, niema coraz bardziej w Polsce szerzących się *guowa*, *siedziou*. Mimo pospolitości tych cech, wspominam je dla zaznaczenia typowej, staropolskiej niejako konsekwencji tej mowy i przechodzę do ciekawszych, tylko jej właściwych.

Do pewnego stopnia należy tu przechodzenie końcowego *ch* w *k*, np. *mnik*, *na nogak*, *do nik*. Sięga wprawdzie ta wymowa aż po Kraków, nawet dalej, ale nigdzie nie występuje tak obficie i stanowczo jak tutaj. Bo na Podhalu niema zupełnie naszego *ch*: na początku wyrazu i między samogłoskami wymawia się ono tak słabo, że go czasem zupełnie nie słychać, np. *hmury*, *suhy*, *fhołowie*, 'w Chochołowie', *dyhni se*, nawet *mury*, *soholowa* 'z Chochołowa'. Konsekwentnie nie może być *ch* i na końcu; że jednak w tem położeniu jest to ważna końcówka i zginąć nie może, przeto zmienia się albo na *f*: *do nif*, *na nogaf* (zwłaszcza często w Pieninach, ale też na Spiszu, gdy w Zakopanem powszechnie tylko *fłoz*, *fłory* z *chto*, *chtory*), albo na *k* (tak normalnie w Nowotarszczyźnie). Do tego prócz miejscownika l. mn. są tu inne końcowe *ch*: przedewszystkiem na każdym kroku występująca stara końcówka l. os. l. p. dawnego aorystu: *juz-ek bół*, *seł-ek* 'szedłem', *prziniózek*; powtórę, zwłaszcza na Spiszu, przeniesione w dopełniaczu l. mn. z zaimków i przymiotników do rzeczowników: *do tyk zbójnikók*, *dobryk ludzik* (to *ch* w dopełniaczu ciągnie się górami od Śląska aż do górali ruskich).—Drugą wybitną cechą głosową Podhala, uderzającą nawet zupełnie niefachowego przybysza, jest wymowa grup *c'i*, *z'i*, *s'i*, *rz'i* (nie *ci*, *zi*, *si* ani też *cy*, *zy*, *sy*), np. *c'isty*, *z'ije*, *z'idy*, *s'itka* 'wszyscy', *Jaworz'ina*, *prz'iseł*, *krz'ic'i*. Porównanie z historyczną ortografią rosyjską: *czistyj*, *zito*, *kriczit* wskazuje, że mamy tu do czynienia z archaizmem, nigdzie zresztą w Polsce niezachowanym, bo nawet pod Pieninami jest już *cysty*, *zydy*.

Poza tem jest w górach tatrzańskich mnóstwo rozrzuconych archaizmów głosowych, np. *śmierzc*, *jędrzny*, *wnęk* 'wnuk', *polednie*, *s nim*, *śległa*, *sjon* 'zdjął', *osłozół* 'rozłożył', *obiesić* 'obwiesić', *gańbić sie*, *hycić*, *wysni* 'wyższy' i t. p. Nie czyniąc mowy niezrozumiałą, do-

dodają jej one świeżości i różnorodności; gdy systematyczne zmiany mogą słuchającego łatwo znużyć, np. pruskie przechodzenie każdego *e* przed nosowymi w *a*, jak *gamba*, *pianta*, *dziań*, *ciemno*, *z bratam*... lub mazowieckie *ni* zamiast *mi*, np. *śnić się*, *niła*, *niasto*, *kanien*..., to tutaj co chwila uderza nas jakieś nowe zjawisko, wciąż potęguje się wrażenie bogactwa językowego, niewpadającego przecież w karykaturalność jakichś *ciemno*, *niasto*.

Mniej więcej to samo w odmianach. Obok przytoczonego już archaizmu *posełek*, *ni mogę* spotykamy też w koniugacji odmienne tworzenie form, np. *wogrzoły*, *wodłoty* (skąd *locizna* 'lane żelazo'; z deklinacji tylko na południu Polski słyszy się jeszcze staropolski dopełniacz na *e*: *do niedziele*, *wilc'i* (wilcy), *prz'isli*, żywo przenoszący nas o kilka wieków wstecz, z liczebników *posło nos siedmi do pięci stawów*, i mnóstwo innych odosobnionych form, tak starych jak i nowo-powstałych. O ileż większe urozmaicenie, niż w wielu innych gwarach, zwłaszcza północnych, gdzie nie tylko już stale po literacku *ze ziemi*, ale nawet mówi się: *dwa krowy*, *do pięć bratów*, gdzie niema nieraz nawet *em* w czasie przeszłym, jedynie tylko *ja niós*, *ja widział*, *my niesli*, a w liczbie mn. nie różni się *li* od *ły*: nieraz *chłopy były* a *krowy się paśli*.

Ta różnorodność form, przy ogólnej archaiczności systemu, wywołuje z pewnością wrażenie estetyczne. Możemy to stwierdzić i na przykładach niepolskich. Oczywiście, że każdy język w rękach prawdziwego poety może być godnym narzędziem poezji, niemniej jednak jednolita pod względem form angielszczyzna o wiele mniej się do tego nadaje niż np. język Homera ze swoim bogactwem najrozmaitszych form deklinacyjnych i koniugacyjnych, form w dodatku, mogących nieraz występować nietylko w jednej postaci. Z punktu widzenia postępu językowego stoi oczywiście angielski na szczycie niejako dzisiejszego rozwoju, doszedłszy niemal do usunięcia zbytecznych dla jasności i zrozumiałości różnic rodzajów gramatycznych i zależnej od nich różnorodności odmian; w zwycięskim jego pochodzie po kuli ziemskiej to uproszczenie z pewnością mu pomaga.

Jeżeli więc postępek jest nowo-polskie usunięcie aorystu lub różnicy w odmianie typów *woda*—*wody* a *ziemia*—*ziemie*, to tak samo oceniaćby należało północno-polskie usunięcie zupełnie zbytecznej znaczeniowo formy *dwie* i zanik odmienności liczebników począwszy od

pięciu. Inna rzecz jednak wzgląd estetyczny: jak poeta ma być blizkim człowiekowi pierwotnemu, tak i niższy typ języka, najczęściej bogatszy w formy, lepszym jest dla niego narzędziem.

To zdaje się jest przyczyną, dlaczego północno-polskie (prócz kaszubskiego) *dwa chłopcy byli* i *dwa krowy się paśli* uznaje się za brzydkie, gdy różnorodność mowy podhalan tak stale imponuje mimo, a może i z powodu znacznej trudności w jej opanowaniu, sprawiającej, że „inteligenci“ tworzą np. całkiem fałszywe miejscowniki na *-e* w rodzaju *przy studnie* (trafiało się to nieraz nawet Wyspiańskiemu z jego słynnym *i w nolepsy familije*).

To samo bogactwo językowe występuje w podhalańskim słowniku. Ten jeszcze bardziej zależny jest od stanu kultury danej okolicy, na każdym więc kroku odbija się w nim pod Tatrami odrębność tamtejszego życia gospodarskiego. W krótkim artykule niema miejsca na przytaczanie i objaśnianie tych niezliczonych słów staropolskich lub z polskiego materiału nowo a oryginalnie utworzonych, bo kto nie zna tej mowy choćby z druku, temu kilka przykładów nic nie powie. I tu południe Polski (Małopolska, Śląsk) bogatsze jest od północy, a z tego południa znów najwyżej stoją góry. Nie mogę jednak pominąć pewnych faktów, co będąc własnością samego tylko Podhala, tak wybitnie wyodrębniają jego język. To wpływy obce: słowackie, madziarskie, rumuńskie.

I tu znów mamy ciekawy problem. Po-wszecchnie się godzimy, że szpecą język wpływy niemieckie, tak ciężące na mowie ludowej zwłaszcza w niektórych okolicach zaboru pruskiego, lub litewskie przedewszystkiem rusycyzmy. Tymczasem na obce naleciałości pod Tatrami patrzymy nawet nie obojętnie, ale wprost życzliwie. Dlaczego? Przyczyną jest oczywiście ich jakość. Wpływ niemiecki np. widoczny jest nietylko w nieznanym przedtem wyrazach technicznych, ruguje on nawet terminy odwieczne, zastępując np. *młockę*—*draszowaniem*, *dzwono* u koła—*alga*, ba, nawet *wargę*—*lepa* lub *jo-dłę*—*dana* (Tanne)! —grozi więc wprost przemianą języka na niemiecki o budowie tylko (do czasu) polskiej. Na Podhalu także roi się od wpływów zatatrzańskich, ale przedewszystkiem normalnie ich pochodzenia nie znamy, nie czujemy więc ich obcości, powtóre zaś są one zupełnie niegroźne. Wobec tego patrzymy na nie bez uprzedzeń narodowych, oceniamy wyłącznie niejako dźwiękowo, z punktu widzenia ich oryginalności. Podobą się nam rumuńska

terminologia pasterska, rozpowszechnione już *bryndza, żetyca, fujarka*, czy też wyłącznie górskie dotąd *ferula, gieleta, kląg, strąga* (skąd *Strążyska*), *watra*...; niezwykle brzmią węgierskie *bajusy 'faworyty', cuha, gazda, gu-nia, hasen 'zysk', hyr 'sława'* i t. p.

Nieco inny charakter mają pożyczki słowackie, zwykle modyfikujące tylko postać polską: pewna przymieszka fonetyczna, jakies *u* lub *h*, rzadziej *r* zam. *rz*, np. *duło, na moj dusiu 'na moją duszę', kohut, hruby, wiyrk, wiyrba* odświeża nieraz najpospolitsze wyrazy. Słowackie też są końcówki 1 os. l. p. *widzem, bedem* i l. mn. *sukome, lązime*, pomieszanie przypadków w *do tobie*. Wreszcie występuje tu nawet pewna cecha ogólna, wybitne piękno nadająca całej mowie, mianowicie akcent przyciskowy na pierwszej zgłosce: *prz'idzieme dō Zakopanego bēz Magure, wyzdajali my sie z hlōpami*.

Osobną właściwością akcentową jest wyższy ton muzyczny i przeciąganie ostatniej zgłoski w pytaniach, które my zaczynamy od 'czy': *prz'iniōz-eś s'itkō?* lub *pānowie kà idom? dō Morskiego Okà?*

Doszliśmy więc może do pewnego zrozumienia, na czym polega piękno gwary podhalańskiej. Podstawą tego wrażenia jest przede wszystkim jej bogactwo formalne i wyrazowe, ale także podobieństwo do staropolszczyzny i mnóstwo drobnych odstępstw, nierzadzących monotonią ani niepopadających w dziwactwo, a przydających najzwyczajszym słowom odrębnego zabarwienia.

Na literacką wartość naszej gwary, jak wogóle na całą artystyczną stronę Podhala, zwróciła uwagę szerszych sfer książka Witkiewicza „Na przełęcz” (1891). Równocześnie dosłowne teksty bajek Sabaly zaczął podawać Br. Dembowski (Wisła, t. VI, 1892), zbierając równocześnie najobszerniejszy dotąd „Słownik gwary podhalskiej” (Sprawozdania komisji językowej Akademii krakowskiej, t. V, 1894). Od tego czasu wywiera słownik podhalski wielki wpływ na język literacki. Potrzebę odświeżenia w ten sposób jego monotonii pierwszy może zrozumiał mistrz starszego pokolenia, Sienkiewicz, naśladując najpierw słynną „Sabalową bajkę” o *śmierci*, a następnie posługując się jego wyrazami i zwrotami dla oddania mowy epoki „Krzyżaków”. O wiele silniej przejęło się tem pokolenie młodsze. W powodzi belletrystyki tatrzańskiej jest oczywiście niemało marnego naśladownictwa, wydała ona jednak także i arcydzieła: niektóre z nowel zbioru Tetmajera „Na skal-



fol. J. Jaroszyński.

PODWÓRKO GÓRALSKIE W ZAKOPANEM.

nem Podhalu”, z językiem góralskim prawdziwszym jeszcze niż u rodowitego górala Stopki („Sabala”), lub u inicjatora Witkiewicza, który próbował stosowania tej gwary nawet do zupełnie innego zakresu („Kwiatki świętego Franciszka” w książce „Z Tatr”). Wymienić też trzeba Orkana, chociaż rodzinna jego okolica nie należy już do właściwego Podhala. Nie tu miejsce na studium o wpływie mowy ludowej na nowy język literacki wogóle, zaznaczę tylko, że chociaż z różnych czerpano okolic (Reymont z Łowickiego, Wyspiański — niezbyt szczęśliwie naogół — z pod Krakowa, Żeromski prawdopodobnie z pod gór Świętokrzyskich), to jednak lwia część tego przeobrażenia: odświeżenia i wzmocnienia języka — przypada na Podhale.

Stabiej poszło ściśle naukowe badanie tej gwary. Bogaci się tylko surowszy materiał: słownik i teksty, np. „Powieści spiskie” prof. Malinowskiego, zbierane jeszcze w r. 1869, ale wydane dopiero po jego śmierci (Materiały komisji etnograficznej Akademii, t. VI, 1902), studia etnograficzne Stopki i Kantora (w tychże „Materiałach”), opowiadania zebrane p. t. „Gadeja” przez W. Brzege, a wydawane w lwowskim „Ludzie” od t. XVI (1910) przez Fr. Krczeka. Ale opracowaniem słownika zajął się tylko częściowo Malinowski w pracy „O niektórych wyrazach ludowych polskich” (Rozprawy filologiczne Akademii, t. XVII, 1892), rozpatrując w niej wpływy węgierskie, a zwłaszcza rumuńskie. Co się wreszcie tyczy całości systemu gramatycznego, to mamy tylko dawne prace: prof. Kryńskiego „Gwara zako-

pańska" i obszerniejszy od niej „Przyczynek...“ W. Kosinińskiego (obie w t. X Rozpraw filolog.) Nie rozwiązują one wcale wszystkich zagadnień, nie też nie mówią o rozprzestrzenieniu i geograficznej różnorodności tej mowy.

To też granic jej zupełnie ściśle podać nie można. Najtypowiej, w całej swej okazałości występuje ona bezpośrednio pod Tatrami, słabną i zmieniają się jej cechy w miarę oddalania się od nich. Dlatego to można mówić i o gwarze „zakopiańskiej“, mimo że w pierwotnej postaci występuje ona dziś raczej w przyległych ustronnych wsiach niż w samej „stolicy“.

Napewno nie różni się zasadniczo mowa Polaków spiskich, podobnie mówią wsie nad Dunajcem aż po przełom pieniński (choć tam niejedno już odstępstwo). Północną granicą jest pasmo Niedźwiedzia, a dalej ku zachodowi mniej więcej Rabka, Jordanów, poza którymi całkiem podgórzem od Starego Sącza przez Suchą aż do granicy śląskiej ciągnie się odrębny pas dyalektyczny, z tendencją do wymowy jednej tylko samogłoski nosowej *a* (nosowe *o*): *raha*, *jażyk* jak i *wiazać*. Natomiast przez polską część Orawy łączy się może mowa podhalska z gwarą okolic Miłówki i Czacy, napewno jednak nie przechodząc na Śląsk.

Kazimierz Nitsch.



Z przeszłości Podhala.

Ludność nowotarskiego Podhala zachowała dotąd szereg specyficznych cech charakteru i umysłu, które sprawiły, iż do skarbnicy kultury narodowej mogła wnieść więcej, niż ludność wielu innych ziem polskich. Cechy te specyficzne podhalańskie wytworzyły się z biegiem czasu i były rezultatem dziejów, które w tym górskim zakątku toczyły się nieco inaczej, niż w innych dzielnicach. Zrozumieć charakter współczesnych Górali możemy dopiero wtedy, gdy się pozna historię ich ziemi. Oto dlaczego postanowiliśmy tu naszkicować dzieje Nowotarszczyzny.

Podhale nie przedstawiało terenu, któryby mógł nęcić kolonistów. Surowy klimat, nieurodzajne, zimne, kamieniste grunta, kompletny brak bezpieczeństwa sprawiły, że jeszcze w pierwszej połowie wieku trzynastego jest ono jedną olbrzymią puszcza. Pracę kolonizacyjną rozpoczął tam dopiero wojewoda krakowski Teodor, wyjednując sobie w roku 1234 pozwolenie książęce na sprowadzenie do terenów swych na Podhalu osadników ze Śląska¹⁾. W tym

samym roku z fundacji wojewody Teodora powstaje na Podhalu pierwszy kościół w Ludźmierzu, wsi leżącej w pobliżu Nowego Targu. Obok kościoła osadził wojewoda cystersów, którzy mieli zająć się kolonizowaniem Nowotarszczyzny. Cystersi wzięli się do pracy gorliwie, i nie przerwali jej, przeniosłszy się w roku 1245 do Szczyrzycy. Świadectwem ich bądź co bądź owocnej działalności jest fakt, że w roku 1254 posiadali już na bezludnym jeszcze tak niedawno Podhalu pola i pasieki w sześciu miejscach noszących nomenklaturę „Długopola, Ludźmierza, Dębna, Ostrowca, Ostrowska i Wilczepola“. Miejscowości te znajdowały się częścią nad połączonym Dunajcem, częścią zaś nad Czarnym Dunajcem. Dolina Białego Dunajca dopiero później znacznie ujrzała kolonistów.

Działalność cystersów w Nowotarszczyźnie w drugiej połowie wieku XIII osłabła i odżyła dopiero w w. XIV. Nie cała jednak Nowotarszczyzna znalazła się w posiadaniu klasztoru. Część jej była w rękach królewskich, a mianowicie Szaflary i samo miasto Nowy Targ, które w roku 1346 otrzymało przywilej lokacyjny od Kazimierza Wielkiego. Własność prywatna natomiast w owej epoce była bardzo szczupła i wpływu na rozwój kolonizacyjny

¹⁾ Stanisław Zachorowski: Węgierskie i polskie osadnictwo Spizu do połowy XIV wieku. Rozprawy Akademii Umiejętności, serya II, t. XXVII, str. 236.

prawie nie miała.¹⁾ Brak zgody pomiędzy najsilniejszymi żywiołami na ówczesnym Podhalu: królem i klasztorem — tamował szybkie zagospodarowywanie Nowotarszczyzny. Cały przebieg walki pomiędzy cystersami a monarchą nie jest jeszcze wyświetlony należycie, faktem natomiast jest, że od końca wieku XIV wsie, należące przedtem do klasztoru cystersów, są już królewską własnością, którą przez wiek cały dzierży rodzina Ratołdów ze Skrzydłnej²⁾. Ratołdzi energicznie pracowali nad zagospodarowaniem swej tenuty: nie szło im jednak łatwo przeprowadzenie lokacji, gdyż osadnicy nęceni sąsiedztwem puszczy umykali dalej. Nie łatwo też było Ratołdom zmusić swych nowotarskich poddanych do dawania danin, czynszów i robocizn³⁾.

Górale umieli bronić swych praw: kierowani przez sołtysów dziedzicznych wsi osadzonych na niemieckim prawie, wszczęli z Ratołdami proces o zmuszanie ich do robót „mniej sprawiedliwych i niezwykłych”. Sprawa ta, rozpoczęta w roku 1496, zakończyła się w roku 1497 zwycięstwem podhalań⁴⁾. Za czasów Ratołdów tenuta nowotarska wybiegała daleko poza górny bieg Dunajca i wkraczała w dorzecze Raby, obejmując oprócz Nowego Targu jeszcze Klikuszowę, Waksmund, Podolin, Niedźwiedź, Porębę, Olszówkę i Mszanę. Nie mniejsze rozmiary miała ona jeszcze i w wieku XVI, gdy po krótkim dzierżeniu przez Jordanów przeszła na własność spadkobierców Ratołdów — Pieniążków — zasłużonych kolonizatorów Podhala⁵⁾. Natomiast w wieku XVII dawniejsza dzierżawa nowotarska rozpada się na parę części. Wsie położone poza Obidową stanowią teraz oddzielną tenutę mszańską, uszczuplona zaś dzierżawa nowotarska nigdy już nie osiągnęła dawnych rozmiarów. Chociaż jednak zmniejszone znacznie wskutek odłączenia Mszany, starostwo nowotarskie w wieku XVII liczy znacznie więcej wsi niż w wieku XV, a to dzięki temu iż w stuleciu XVI kipiała najcięższa praca kolonizatorska. Gdy nadanie w roku 1505 wymienia w całej Nowotarszczyźnie zaledwie wsi 10, to w 60 lat później jest już tam wsi 19, a w roku 1636 na obszarze uszczuplonego starostwa widzimy już wiosek 36⁶⁾. Okazuje się więc, że okres naj-

intensywniejszy kolonizacji Podhala przypada właśnie na czas rozkwitu gospodarstwa folwarcznego w Polsce. Pośród wsi podhalskich był cały szereg bardzo mało ludnych. Taki np. Biały Dunajec liczy w roku 1565 zaledwie 5 kmieci, w Maruszynie jest ich wówczas zaledwie 3, tyluż obywateli liczą Witów i Poręba¹⁾. Być może, że wymienione tu wsie były pierwotnie dworzyszczami, założonymi samorzutnie przez wychodźców bądź z innych części Polski, bądź to ze starszych wsi Podhala²⁾. W ten sposób powstało później i Zakopane, a w ostatnich czasach Krzeptówka. Oprócz kolonistów polaków zjawiać się zaczęli na Podhalu także pasterze wołoscy i ruscy, nęceni obfitością pastwisk podhalskich. Pieniążkowie i osady powstałe samorzutnie starali się przekształcić w nowe wsie, nadając im „prawo magdeburskie czyli wołoskie”, które jednak nie było ani czysto niemieckim, ani wołoskim³⁾.

Jak wszędzie tak i na Podhalu kmiecie świeżo osadzeni, zwani w Nowotarszczyźnie „zarębnikami” lub „wolnikami”, byli wolni od świadczeń. Jednakże za rządów Pieniążków i starsze wsie nie mogły się skarżyć na ucisk, to też ani w jednej wiosce w roku 1565 nie było pustek po zbiegłych chłopach. Powinności chłopów podhalańskich nie były wówczas unormowane. Trudnoby było znaleźć dwie wsie wówczas, któreby miały zupełnie identyczne ciężary. Za najbardziej typową pod względem obciążenia może uchodzić wieś Waksmund. W roku 1565 siedzi tam 11 kmieci na 5 łanach i 9 prętach. Każdy z łanu dwunastoprętowego dawał: czynszu groszy 16, objednego 2½ gr., poczty 4 gr., za ryby 3 gr., za roboty 22 gr. Ponieważ każdy waksmundzianin posiadał wówczas około ½ łanu, więc jego ciężary sprowadzały się do 23½ gr.

Jak wiadomo, ludność wsi polskich dzieliła się na kilka warstw, różniących się od siebie zarówno położeniem materialnym, jak i obowiązkami względem dworu. Pod tym względem Nowotarszczyzna w XVI wieku wyróżniała się dodatnio. Oto w roku 1565 we wsiach podhalskich siedzą tylko kmiecie, przedstawiciele proletariatu wiejskiego, komorników, spotykamy jedynie

¹⁾ Stanisław Zakrzewski: Dzieje klasztoru cystersów w Szczyrzycu, str. 65.

²⁾ Tamże, str. 73.

³⁾ Helcel: Pomniki II, str. 4471, 4472, 4482.

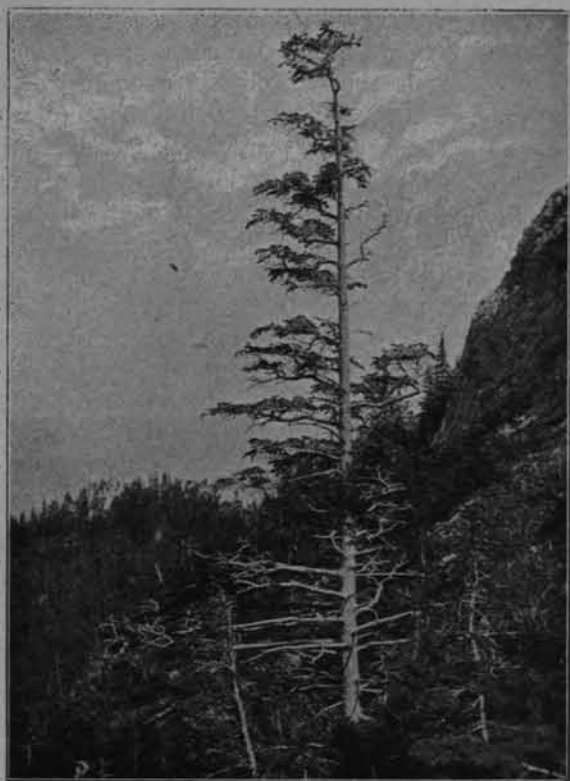
⁴⁾ *Matriculium Regni Poloniae Summaria Pars* III, 126.

⁵⁾ Inwentarze starostwa Nowotarskiego w Archiwum Skarbowem.

¹⁾ Tamże.

²⁾ Osadnictwo dworzyszczami jest wogóle cechą okolic górskich. Spotykać się z nimi można i w Alpach.

³⁾ Długopolski Ed. Dr. Rządy Mikołaja Komorowskiego na Podhalu. Pamiętnik Towarzystwa Tatrzńskiego, rok 1911, str. 36.



ŚWIERK NA SARNIEJ SKALE.

fol. ze zb. St. Sokołowskiego.

w młodziutkim wówczas Maruszynie, gdzie ich siedzi 2 na 3 kmieci.

Gospodarka kmieci podhalskich wieku XVI nie ma bynajmniej wyłącznie pasterskiego charakteru. Przeciwnie, wszyscy kmiecie wówczas uprawiają rolę, nie wszyscy natomiast posiadają stada. W dość ludnym stosunkowo Czarnym Dunajcu, dwóch wówczas zaledwie kmieci trzymało owce. Ze zbóż siano wówczas na Podhalu nietylko owies, jęczmień, połownik (mieszaniec owsa z jęczmieniem lub żytem), ale nawet żyto i pszenicę. Podobnież i w folwarku nowotarskim w wieku XVI na pierwszy plan wysuwa się jeszcze produkcja zbóż, obok niej jednakże hodowla bydła prowadzona jest na większą skalę niż na dolinach. Rządy Pieniążków dobrze zaznaczyły się w dziejach Podhala. Dzierżyli oni tenutę Nowotarską do roku 1616. Następnie po 8-letnich rządach Stanisława Witowskiego, wielkorządcy krakowskiego, który dbał o Podhalę, nie przeciążając ludności ciężarami i opiekując się kopalniami, przeszła Nowotarszczyzna w ręce Mikołaja Komorowskiego. Chciwy ten i nie przebierający w środkach starosta zaczął uciskać chłopów podhalskich, chcąc wyrubować z nich jak najwięcej danin i w ten sposób poprawić swoje finanse. Ale, jak wiemy już, z góralami nie była łatwa sprawa. Część

ich uciekła ze swych siedzib. Cała jedna wieś Brzegi „rozbiegła się wówczas dla ciężkości“. Ci¹⁾, którzy pozostali na miejscu, wzięli się energicznie do walki z chciwym starostą; wytworzyła się wówczas wśród podhalań specjalna organizacja chłopów, która nawet nazwała się raz „Rzeczpospolitą nowotarską“. Górale walczyli wszelkimi środkami ze swym prześladowcą. Z początku starali się iść drogą legalną, szukając sprawiedliwości w sądach referendarskich, których zadaniem między innymi była obrona poddanych królewskich przed nadużyciami starostów. Sądy referendarskie wysyłały wprawdzie komisarzy, którzy mieli zbadać na miejscu krzywdy podhalań, ale sprawa przewlekła się bez końca, a gwałty Komorowskiego nie ustawały. W końcu podhalanie stracili cierpliwość i, nie doczekawszy się ostatecznego załatwienia sprawy, podnieśli bunt. Było to tem zrozumialsze, że prowadzenie procesu pochłonęło już ogromne sumy, zebrane przez podhalań pomiędzy sobą, nadto przekonali się oni, że do wyroku dla siebie nieprzychylnego nigdy Komorowski stosować się nie zechce. „Dnia 17 listopada 1630 roku,—pisze historyk Podhala, dr. Długopolski,—górale napadli, zebrawszy się w wielkie gromady, uzbrojeni w broń palną, na folwarki, browary, młyny, pily, karczmy starosty w Ratułowie i innych wsiach, a stawiających im opór urzędników pobili, a dwóch z nich nawet zabili, zboża, słozy, piwa, gorzałki, chmiel, bydło, świnię, sprzęty i naczynia domowe pobrali i poniszczyli, a budynki prawie do szczętu znieśli“²⁾. Bunt nie ustał jeszcze i w początku 1631 roku. Oto górale, zebrawszy się w gromadę 500 ludzi, napadli 9 stycznia na Nowy Targ. Rozpoczęła się kompletna wojna domowa, w której sprzymierzeńcem Komorowskiego stał się sąsiad jego starosta czorsztyński, Jan Jastrzębiec Baranowski. Krew lała się czas jakiś obficie, Komorowski pomimo swych znacznych sił uznał w końcu za stosowne opuścić Podhalę. Rozpoczęły się znów procesy w sądzie referendarskim, podczas których zmarł tyran podhalański. „Mikołaj Komorowski, — jak słusznie zaznacza dr. Długopolski,—rozpętał drzemiące w duszach pierwotnych instynkta oporu i buntu, wzbudził nienawiść, która zjednoczyła różnorodne żywioły w jeden walczący obóz, spowodował upadek powagi zwierzchności, złamał wiarę w prawo i w skuteczność ucieczki pod jego opiekuniec

¹⁾ Długopolski: Rządy Mik. Komorowskiego na Podhalu, str. 39. Rocznik Tow. Tatrzańskiego. 1911 r.

²⁾ Ibidem, str. 60.

skrzydła, wywołał wytworzenie formy organizacyjnej ludności w celach buntowniczych i przygotował teren podatny, na którym mógł w 20 lat później odegrać swą krótkotrwałą smutnej pamięci rolę nieszczęsny Kostka Napierski¹⁾.

Ze śmiercią pana Mikołaja skończyły się na Podhalu rządy Komorowskich. Starostą został Tomasz Zamoyski, w roku zaś 1638 objął nad nim rządy Adam Kazanowski.

Już podczas krótkich rządów Zamoyskiego zaczęły się na Podhalu zabić rany, zadane przez Komorowskiego. W roku 1636 na nowo osiedliły się Brzegi, nie było prawie wioski na Podhalu, w którejby obok kmieci zasiedziały, „siedlaków“, nie gospodarowali „na surowym korzeniu“ świeżo osiedli „nowacy“.

Wieś podhalska, przedtem jednolita pod względem społecznym, teraz już się różniczkuje. W wielu wsiach obok kmieci posiadających sprzężaj, siedzą zagrodnicy, którzy nawet gdzieś stanowią jedyną klasę mieszkańców wioski; tu i owdzie spotkamy nawet i chałupników, nieznaną prawie lustracyi 1565 r.²⁾. W wieku XVII, o ile sędzić możemy ze wskazówek ubocznych, na Podhalu pasterstwo i przemysł leśny wzięły górę nad rolnictwem, które tam nie miało bynajmniej sprzyjających warunków rozwoju. Każda wieś posiadała wówczas na swój użytek wielkie obszary leśne. Takie Zakopane, które, mówiąc nawiasem, liczyło w 1673 roku 30 mieszkańców (wraz z Olszą), posiadało, według brzmienia przywileju króla Michała Korybuta, lasy ciągnące się od granic Poronina, Zubsuchego, Dżianisza, Witowa aż do państwa Spiskiego. W lasach tych wyrabiali górale „tramy, tarcice, deski limbowe i gonty“. Wszystkie te produkty były eksportowane z Podhala prawdopodobnie przy pośrednictwie dworu. Do przedmiotów eksportu na Podhalu w wieku XVII należały również i wyroby włókniste. Len i konopie siano tam oddawna i przerabiano je na płótna zarówno grube, jak i delikatniejsze.

Pomyślnie w wieku XVII rozwijało się owczarstwo: w roku 1696 w trzydziestu trzech wioskach nowotarskich liczono ogółem 12 tysięcy sztuk owiec. Przez lato oczywiście kierdele owiec pasły się po górach; wszystkie hale należały do włościan, tylko Kondracka i Małolacka były bezpośrednią własnością dworu, ale i na nich mogli chłopcy pasać za specjalną opłatą. Można śmiało przypuszczać, że system

pasterski górali podhalskich nie uległ ważniejszym zmianom w ciągu ostatnich przynajmniej wieków. Po tem więc, co się obecnie dzieje w halach i polanach nowotarskich, możemy sądzić, co się działo tam przed paru stuleciami. Otóż dotychczas na Podhalu z nastaniem cieplejszej pory rozpoczyna się istna wędrówka narodów, gdyż nawet wsie odległe od Tatr o parę mil, posiadają w nich swe hale. Tak np. hala Pyszna należy do wsi Obidowej, Klikuszowej i Lasku. Ściśle jest określone, ile każdy góral ma prawo wysłać bydła na górskie pastwiska, rzeczą zaś godną uwagi jest to, iż 2 konie lub woły uważa się za równorzędne z 3-ma krowami, 6 jałówkami, 18 owcami, 36 jagniętami.

Każdy góral, który wysłał swe bydło na hale, otrzymuje w jesieni pewną ilość sera owczego, ilość którego określa się w sposób nadzwyczaj oryginalny. Gdy owce mianowicie przebędą już kilka dni pod dozorem bacy i najętych juhasów, schodzą się gazdowie, by wziąć udział w próbnym udaju. Każdy doi swe owce do naczynia drewnianego, które przez całe lato pozostaje u bacy w szałasie. Poziom mleka w naczyniu oznacza się karbem na zanurzonej w nie deseczce, mającej długości około 30 centymetrów. Dolną część deseczki po oznaczeniu na niej liczby owiec odcina się do karbu. Odcinek zabiera z sobą właściciel owiec a samą deseczkę baca przechowuje na hali. W drugiej połowie lata każdy gospodarz przychodzi znowu na halę i umawia się z bacą co do ilości sera, jaką ma otrzymać. Zwykle baca oddaje 6 lub 8 razy więcej sera niż waży woda, odpowiadająca próbnemu udajowi mleka¹⁾.

Gospodarstwo folwarczne w drugiej połowie XVII w. przystosowało się lepiej do warunków miejscowych. Folwarków jest już wówczas sporo. Do dawnych: Nowotarskiego, Szaflarskiego, Szreniawskiego, przybywa folwark w Czarnym Dunajcu i dwa folwarczki: Zubski i Ustupski na terytorium Zakopanego. Na wszystkich tych folwarkach życie płynęło wcale wartko, ale zupełnie inaczej, niż w królewskich, znajdujących się na dolinach. Gdy tam produkcja ogranicza się do hodowania zbóż przy pomocy chłopskiej pracy i chłopskiego inwentarza, gdy nawet rzadko gdzie hoduje dwor bydło na większą skalę, to wśród gór tatrzańskich uprawa zbóż jest tylko częścią gospodarki i to bynajmniej nie górującą nad innymi. O całym syste-

¹⁾ Rządy Komorowskiego, str. 14.

²⁾ Inwentarz starostwa Nowotarskiego w Archiwum Skarbowem.

¹⁾ Seweryn Krzesimowski. Próby podniesienia uprawy łąk i pastwisk w Tatrach. (Rocznik nauk rolniczych 1907, tom III, str. 147—150).

mie gospodarki najlepiej pouczyć nas mogą księgi dochodów i rozchodów starostwa nowotarskiego, których parę posiadamy z końca XVII w. W roku 1692 dochód wynosił 35024 złp., rozchód 1695 złp., czysty zysk 34372. Nieproporcjonalny stosunek pomiędzy czystym dochodem, a kosztami eksploatacji nie będzie nas dziwił, gdyż było to zjawiskiem powszechnem w owych błogosławionych czasach, kiedy nie potrzeba było było łożyć ani na robotnika, ani na inwentarz pociągowy. Ale rozpatrzmy się bliżej w pozycjach, stanowiących dochód ówczesnego starostwa nowotarskiego. Otóż okazuje się, że główną pozycję stanowią na Podhalu czynsze i daniny, dochodzące do wysokości 21245 złp., podczas gdy dochód z bydła wynosi 4033 złp., ze sprzedaży zbóż 1579 złp., produktów drzewnych 1163 złp., wreszcie produktów włóknistych 1478 złp. Czasy najlepszego zagospodarowania starostwa nowotarskiego przypadają

właśnie na drugą połowę XVII w., gdy dostało się ono pod rządy Wielopolskich. Szczególniej odznaczyła się pod tym względem kanclerzyna Wielopolska, siostra królowej Marysienki, jedna z najgospodarniejszych kobiet, jakie bywały na polskiej ziemi. Po Wielopolskich dzierżyli Nowotarszczyznę Radziwiłłowie. Ostatnim starostą był Franciszek Pelikańczyk Rychter, podstoli krakowski. Po jego śmierci rząd austriacki utworzył ze starostwa skarbowe dobra Nowotarskie, które następnie podzielił na 6 części i rozprzedał w latach 1819—1824 osobom prywatnym. Część dawnego starostwa, obejmująca Zakopane, nabyta wówczas została przez Homolatschów. Górale jednak nigdy nie nagięli się do pańszczyzn, nie zapomnieli o swej świetnej przeszłości i pozostali zawsze wiernymi, wolność nadewszystko miłującymi synami narodu.

Ig. Baranowski.



PIES I WILK.



LIMBA W DOLINIE NIEWCYRKI
POD KRYWANIEM.

fot. ze zb. St. Sokołowskiego.

Jedni gazdowie mieli starego psa, ale mu nie dawali jeść, że ta już był stary i wyścigali go, a na to miłyśce wżni se małego psika. No i ten stary pies tłuk se ta pomiędzy ściany, sukół po śmiećskak coby co przece zjeś. Jaz tu roz prziseł ku niemu w nocy wilk i pyto se tego psa starego: „Je cos ty robis, he?” A pies mu powiada: Je, sukom co zezryć, bo mie ga-

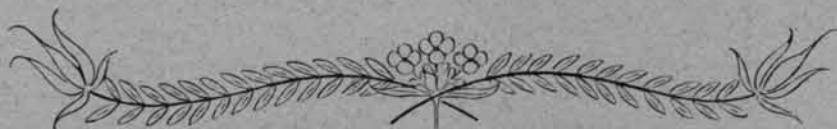
zdowie moi wygnali z hałupy, bo se majom psika, młodego“. A wilk mu na to powiada: „Je to mie zjydz“. „Je cos se ta na tobie pomscem, kieś hudy!“ — pado mu pies. No i dobrze nie bardzo, jaz se go pyta wilk: „Co tys ta twoji gazdowie porobiajom, he?” A pies mu na to: „Wiys co, — jutro pojadam rzepe (ziemniaki) kopać i bierom ze sobom dziecko, a i obiod, no i tego małego psika“. A wilk mu na to powiada: „Wiys co, przyjdzie jutro do zatku (pola leżące na zachód od wsi), bo jo tam ku nim przidem, to se ta obidwa oblykomy“. Skoro se ta juz tak ugodali, uradzili, tak se pomatu uozešli i jeden drugiemu posceścyl na dróge. Na drugi dzień juz oba idom do zatku, tam ke (gdzie) ci gazdowie kopali. Ale wilk seł (szedł) skulony poza kempe (kępę) coby go nik nie uświacył—a pies go dożroł i myśli se. „E, to ten wilk, na mój stoprawdu, kce zryć i obiod, a moze se i gazdów mojik chyći“. Tak jak nie prziskoci ten pies ku wilkowi, jak go nie przekopyrtnie i tak sie strasnie uoba zarly co cud. A mały psik, to miasto (zamiast) bronić i dziecka i obiadu, abo psu staremu pomóc, to se babie pod spodnice skrył. A pies i wilk przekopyrtli gorki z objadem, no i ze-

zarli, ale ta wilk nie duzo, bo przisel gazda i wilk jino raz porwol se w uciekaca. Ej fte dopiero htop babie powiada: „Wijs! Nie kcia-
las gazdzino starego psa, ale kieby nie on, byl-
by wilk na mój dušiu porwol ci dziecko“. No
i gazda wzon nazod starego psa du domu ji
mieli go ta juz jako opiekuna hałupy, a ji dziecka.

Ale znowu w niedługi cos przisel wilk do
wsi i spotkoł se znowu s tym psem. I pyta se
go wilk: „E, jakości tam jidzie?“ — „Je dyć ta
dzięka Bogu dobrze!“ — powiada pies — „ale kie-
byś ty przisel jutro do nos, hja, to byś se ty
podjod po pańsku i opilbyś jak na odpusć“.
„E, cos ta takiego mos?“ — pyto se go wilk.
„Bo u nus bee hnet wesele“ — pado pies. No ji
dobrze. I przisel wilk ku hałupie i pies go
użroł ji jidzie ku niemu. A wilk mu pado:
„E, jakos ta wleziemy?“ — „Bedziemy dropali
gline“ — pado pies, no ji tak zrobili i wlezi se
do kómory. Ale wilk jako wilk, naprzódziej
zar pośledni hlyb, a pies mu mówi: „Je nie jy-

dze tego, bo tu jes doś kielbos ji baby napie-
cone“. No i wilk jak zre, tak zre, het mu
bańdziach wypucyło. Na ostatku pies mu po-
wiada: „Wiys co, jes tu ji śpiwajonco woda“. A
wilk mu mówi: „E, jakos to? dobro? jakos
se jej napijemy?“ A pies mu powiada: „E, wis
tak, — ty podstaw kufe, a ja pipac dokreńcem,
no ji napijes se“. He, miłys mocny Boze, kie se
nie chyciyl wilk do picio, to se cisto piyknie
opiyl, no ji zacon tońcić, skakać, a wyć, niby
se przisiwywowoł. Ale gazdowie sluhajom, co
tam tak burzi w kumorz je poseł gazda z ki-
jem do kumory. Pies stary jino roz uciók, ale
wilk ni móg, bo se uobzar i uopiyl, tos to ga-
zda go zabiyl, a psu było dobrze, ze hałupe
od wilka uobroniyl. Amyn. Tako to była hi-
storyjo s tym psem ji wilkem. A to se uwazuj,
ze starego trza sanować, bo fto starsi, to mo
uogon twardsi. Haj!

*Według opowiadania Franciszka Kantora
z Czarnego Dunajca.*



Noce górskie.

Kto chce poznać góry, ten nie może po-
prześcić na zwiedzaniu znanych szczytów, obie-
ganiu wszystkich dolin i przełęczy, poznałby
bowiem tylko ich oblicze zewnętrzne. By zaś
wniknąć w duszę górskiej przyrody, żyć się
z nią trzeba, oglądać ją we wszystkich jej prze-
mianach.

I niedość jest góry odwiedzać w odmien-
nych porach roku, niedość znać świeżość po-
ranków, zar południa, szarość wieczornego
mroku.

Poznajcie grozę i majestat górskiej nocy!

Pamiętam — w latach dziecinnych, gdy
dopiero budzić się we mnie zaczynał pociąg do
wędrowek górskich, chodząc z rodzeństwem
pod opieką górala na jednodniowe wycieczki,
marzyłam o jakiejś niezwykłej przygodzie, któ-
raby nas zniewoliła do spędzania nocy pod go-
łem niebem.

Ale przygoda nie zdarzała się jakoś.

Po upływie lat paru, gdy wraz z rozwojem
samodzielności turystycznej, zanikła potrzeba
najmowania przewodnika, miałam sposobność,
organizując w zażyłym kółku małe wycieczki,
wprowadzać w czyn pomysły spędzania nocy
w górach.

Wyruszałam więc w noc księżycową nad
Czarny Staw Gąsienicowy. A było to wcze-
sną zimą, czy raczej późną jesienią, gdy lśniła
się jeszcze niezamarznięta tafla jeziora, a oka-
łał ją śnieg, co zaścięłał już w zupełności do-
liny nieprzerwaną, choć lekką warstwą puchu.
Białość jego w blaskach pełni dawała tyle świa-
tła, że rozpoznalbyś cień pajęczej tkaniny.

To znów letnią porą spędzałam nocne
godziny w Grocie Magóry, siedząc w około
ogniska. Opowiadaliśmy sobie tedy różne dzi-
wy przeżyte i nie przeżyte. Kto zaś nic nie
przeżył, o niczem nie słyszał, ten opowiadał
rzeczy zwykłe; a i te przybierały postać dzi-
wów w oczach słuchaczy, zapatrzonych w ścia-
ny jaskini jakby falujące w migotliwych blaskach
ogniska.

I snuły się opowiadania, a ściany drżały,
oblane czerwienią... Aż nagle spostrzegaliśmy,
że znieruchomiały i stały się sine. Ktoś do-
myślny zwrócił głowę ku wejściu pieczary i uj-
rzał jego półkrąg sino-niebieski.

To brzask się wkładał i przypominał nam
o powrocie.

Lecz nie o takich to nocach śniła fantazyja
dziecięca.

Żądzy wrażeń nie syciły obrazy, owiane urokiem tylko, a pozbawione grozy i trwogi o życie. Budząca się energia szukała czynu, a zdrowe członki chciały opór stawić przeciwnościom. Więc program wycieczek coraz to trudniejsze składały partie, a młodzieńcza śmiałość niebacznie narażała życie.

*

Zima 1910 r., obfita w śniegi, pozostawiła swe ślady w Tatrach aż do letnich miesięcy. W końcu czerwca śnieg bielił się nie tylko w ciemnych żlebach, lecz okalał wielkimi polami strome brzegi jezior.

Z tej też przyczyny, zmuszeni rąbać stopnie wokół Czarnego Stawu nad Morskim Okiem i w stromym żlebie, wiodącym ku Niżniej Żabiej Przełęczy, zapóźniliśmy się niezmiernie z wejściem na szczyt Żabiego Konia.

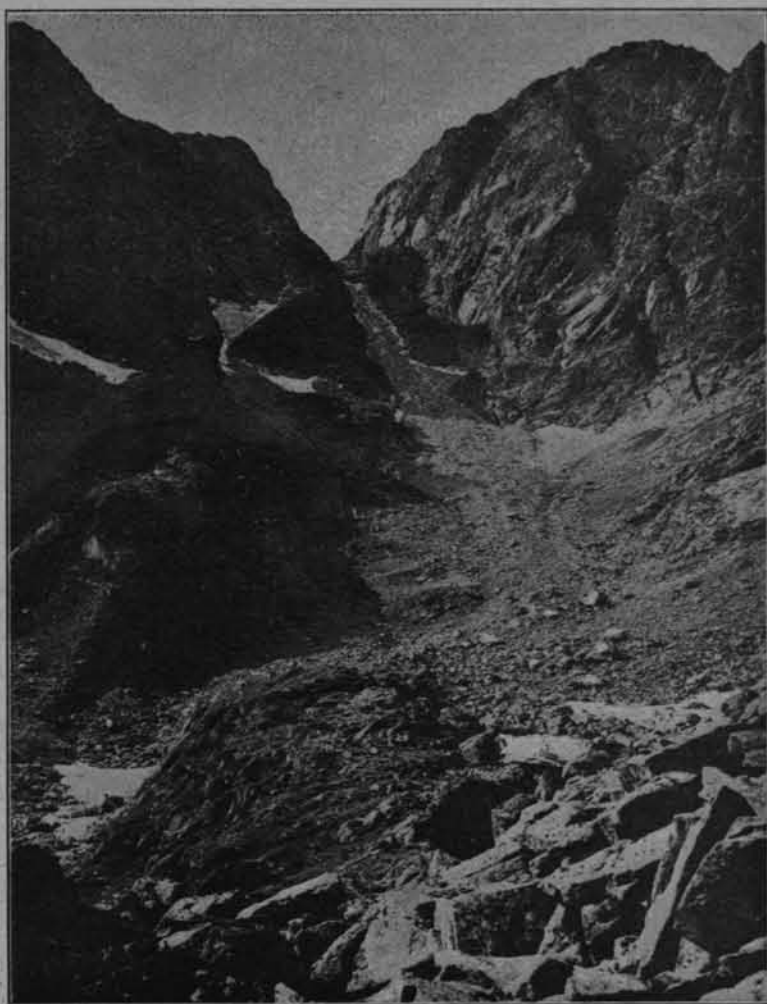
Już się słońce chyliło ku zachodowi, a my troje zbliżaliśmy się zaledwie do szczytu. Wspinaliśmy się okrakiem po ostrych koraach skalnych, to sunęliśmy po stromych płytach grani wschodniej, a na dnie pustki, ponad którą stopy nasze zwieszone szukały bacznie oparcia, doliny zęgały się z ostatnimi blaskami dnia.

Krótką też była chwila spoczynku na szczycie. Mieliśmy przed sobą 13-metrowy zjazd z przewieszki Wachtera, potem zejście ślizkami trawkami ze strony południowej szczytu...

Hej! wszak planowaliśmy powrócić tegoż dnia przez Rysy do Morskiego Oka! A i worki z zapasem żywności i odzienia czekały na nas, zostawione przy drodze! Obyśmy dziś choć do Popradzkiego stawu dotarli i pożywić się mogli w schronisku. Od południa nie mieliśmy nic w ustach prócz okruszyn czekolady.

Z pośpiechem szykowaliśmy liny do zjazdu.

Ja zjeżdżałam pierwsza, aby podwójnie być asekurowaną przez obu chłopców. Pochylona gładka ściana szczytu, widna wyraźnie z dolin okolicznych, oddalała się ode mnie coraz bardziej, a ciężar mego ciała, zawieszony w powietrzu, kręcił się jak zabawka na sznurku. Wiatr zdawał się pomagać mu w tem jeszcze.



fol. S. Zdyb (ze zb. firmy „Tatry”).

ZAWRAT.

Przed oczyma, jak w kalejdoskopie, przesuwały się kolejno przeciwległe obrazy, migwały tafle jezior, to polskich to węgierskich, to gładka ściana szczytu, to znów doliny i stawy. A hen, na krańcach majaczyły liliowe przestrzenie. A gdy wzrok strwożony szukał pod sobą oparcia, błędził daremnie w pustej przestrzeni. Daleko, o setki metrów niżej białaty pola śniegowe.

Z jaką radością usłyszałabym czyjś głos pod sobą, któryby mi wskazał, gdzie oprzeć nogi! Zjeżdżałam w dół powoli, aż zbliżyłam się do głazów, sterczących z grani. Ale nie znalazłam przy nogach półeczki skalnej, na której zjazd miał się kończyć. Wnet też spostrzegłam, że końce liny, wolno w dół puszczane, ugrzęzły gdzieś za dużym głazem i przyciągały mnie ku niemu.

Chwila trwogi... wahania... i zawisłam na jednej ręce, drugą szybko chwyciłam poniżej kolan linę i szarpnęłam nią kilkakrotnie.

Ostatnim już wysiłkiem wyrwałam ją z uwięzi; zaraz też ciężar ciała mego przesunął się ku półeczce.

Ze szczytu dochodziły mnie słabo okrzyki towarzyszy. Snadź dziwili się tej zwłoce. Lecz ja ochłonać musiałam z wrażenia i rozprostować drżące z wysiłku ramiona, zanim im dałam znać, że mogą zjeżdżać.

Mrok już zapadał, gdyśmy się śpiesznie spuszczały trawkami, zszała przed nami droga, gwiazdy się zapalały na niebie. Brak latarki staraliśmy się zastąpić zapalkami, szukając zejścia z pomocą liny wśród śliskich trawek i stromych płyt. Pochód był nad wyraz powolny i istotnie niebezpieczny.

Drżeliśmy z zimna i głodu, a usta spragnione oszukiwałyśmy śniegiem.

Mijały nocn godziny. Czekałam nieraz długie chwile na uboczu, podczas gdy chłopcy szukali miejsca do przewieszania liny, lub w braku odpowiedniego miejsca hak wbijali.

Obecność człowieka w tej śmiertelnej pustce i ciszy zdradzały jeno uderzenia ciupagi. Siedziałam w skupieniu i wchłaniałam w siebie czar nocy górskiej. Zachwyt z trwogą aż graniczący tłumiał bicie serca — wolnego od trosk powszednich.

Z czarnej masy gór nic już rozróżnić nie było można, tylko na dnie doliny rysował się obszar śniegu, co zaścielał jej część górną; dalej splaywała ona czernią i zlewała się z przestrzenią. W oddali migotało samotne światelko, a na niebie błyszczały ich miliony.

Dotarliśmy wreszcie do śniegowego pola i dziwiliśmy się, że białosc jego tak rozprasza ciemności. A to już dzień się budził. Gwiazdy

na niebie bladły, znikwały. W kotłince Żabich Stawków mgła się snuła z nad wody, niby białe duchy skrzydlate.

Już nie mieliśmy przed sobą trudności. Znaczny kawał skróciliśmy, zjeżdżając po niezbyt pochyłym śniegu, i niebawem podążaliśmy ścieżką ku Popradzkiemu Jezioru.

W dolinie mrok jeszcze panował, gdy słońce złożyło już szczyty. W limbach i świerkach budziły się ptaki. Jakąż ochotę miałam spocząć dłużej na bujnej świeżej trawie. Rosły wśród niej przeróżne dziwne kwiaty: jakieś wielkie żółte kielichy o słodkiej woni, to wysokie bałki różowe, sterzące z kępy liści szczawiovych, które żęły chętnie spieczone usta. Lecz nikt nie czekał na mnie. Głód nas popędził. Nie jedliśmy nic przez 14 godzin!

Łatwo też zrozumieć, że przyszedłszy do schroniska, rzuciliśmy się na suchy chleb,

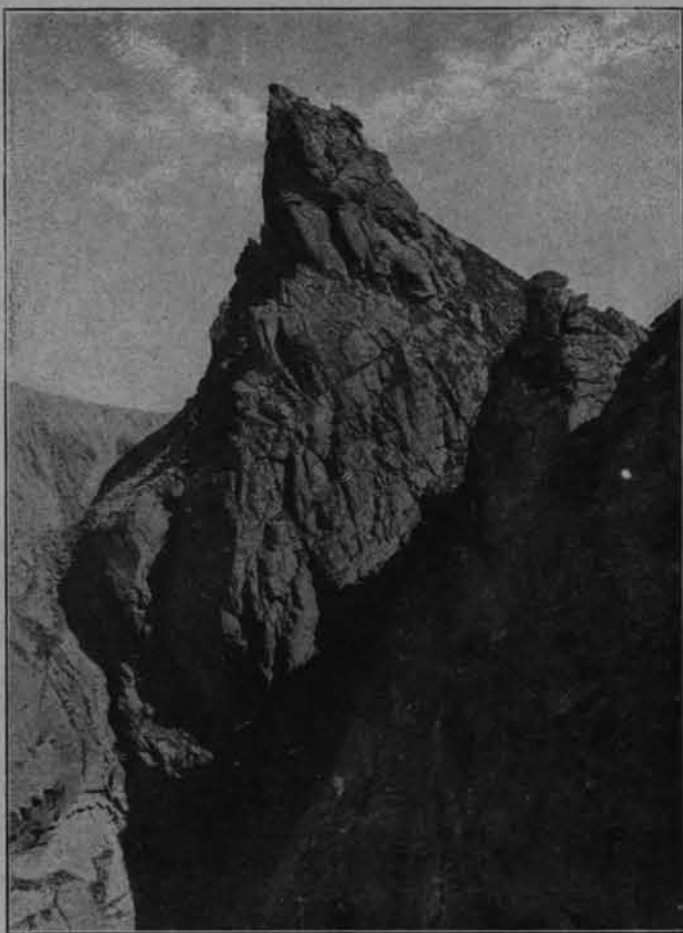
leżący na stole, i że z rozkoszą udaliśmy się do łózek, które opróżniali wstający już turyści.

*

Zbudziliśmy się późno i o 5 pop. dopiero ruszyliśmy z powrotem przez Rysy. Nic też dziwnego, że nas już zmierzch zaskoczył na szczycie.

Przybylibyśmy jednak może przed świtem do Morskiego Oka, gdyby nie myśl fatalna — spuszczenia się rysą śnieżną, spływającą w prostej linii z wierzchołka do samych stóp szczytu. Zasmakował nam wczorajszy zjazd po śniegu. Lecz tamten był, jak puch, miękki.

A tu — z jakimże niezadowoleniem spostrzeżliśmy, zjeżdżając na linie kolejno, że tyl-



ORLI BASZTA.

for. J. Laude.

ko górną część Rysy wypełnił puch świeży; im niżej zaś, tem śnieg stawał się twardszy i przecinały go żyły lodowe.

Powiększał się też spadek raptownie. Drżeliśmy z zimna. Być może, że każde z nas miało skrytą chęć zaniechania szalonego zjazdu i wrócenia ku ścieżce. Ale, chcąc dojść do niej, trzeba było przejść w poprzek ryse. A rysa stała się tu już tak szeroka... Towarzysz nasz spuszczał kolejno na długość liny mnie i brata, na śniegu leżących, poczem sam ostatni schodził ostrożnie na rakach z pomocą ciupagi. My czekaliśmy tymczasem długie chwile w milczeniu, zaryci w śnieg, ile się dało, i przymarzałyśmy doń plecami.

Noc już była zupełna. Patrzyłam w niebo, usiane gwiazdami, bojąc się obsunąć chociażby drgnieniem głowy.

Jednak w pewnej chwili odważyłam się nie tylko drgnąć ale i wydobyć z wgłębienia skostniały łokieć.

Jednocześnie uczułam, że obsunął się śnieg pod memi nogami. Zdażyłam tylko krzyknąć:

— Oh! leceć! — i zaczęłam się zsuwać po stromym spadku. Po chwili uczułam, że szarpnięciem grubej liny ściągnęłam mego towarzysza.

— Zatrzymam się o brata, on jest na rakach — myślałam, zbliżając się szybko do leżącej na śniegu jego postaci. Lecz, gdy nogi moje spoczęły raptownie na jego ramionach, wypchnęłam go z jego legowiska, poczem i on zsuwał się też zaczął pode mną.

Leciliśmy tedy wszyscy troje w coraz szybszem tempie. Brat mój daremnie krwawił sobie ręce o lodową skorupę, usiłując bieg nasz choć zwolnić.

O czem myślałam w chwili, gdy życie nasze miało się rozprysnąć w dole na skałach — zgoła nie pamiętałam. Wiem tylko, że miałam mgliste uczucie, iż coś nas uratować musi.

Nie wiem też, jak długo

i czy długo tak leciliśmy, gdy nagle uczułam bolesne szarpnięcie liny w pasie i zatrzymałam się. Brat mój zbywszy się z ramion mego ciężaru, zwolnił biegu, a gdy wyprężyła się lina między nami, stanął też w miejscu. Sznurzy rozrywały mnie niemiłosiernie w dwie strony, wpijając się w pachy i biodra.

Leżeliśmy czas jakiś w milczeniu, nie wiedząc, co nas zatrzymało. Wiedział tylko ten, który nas zatrzymał — zarazem twórca szalonego pomysłu.

Nie udało się naszemu towarzyszowi zatać pędu ciupagą. Ale gdy podczas biegu ujrzał z boku szczelinę w twardej powłoce, co obtała wokół skalnego występu, przerzucił się ku niej gwałtownie i wpakował w nią rękę aż po ramię.

Rzecz prosta, mieliśmy już dosyć śniegu. Ochłonawszy z wrażenia, zboczyliśmy zeń z wielką ostrożnością i mozołem, kierując się ku ścieżce.

Przy zdejmowaniu raków zaczęły się wymówki i dysputy.

Na domiar złego bratu memu wymknęła się z rąk torba, jedyna, jaką mieliśmy ze sobą, i zaczęła się staczać po śniegu coraz prędzej, malała nam w oczach, aż znikła, dając nam obraz tego, co nas o mało nie spotkało, a co się w parę tygodni później zdarzyło dwóm turystom. Lecz w torbie zgniótł się tylko kubek blaszany, a turystom zmiażdżyły się głowy.

Pożegnaliśmy się już z jej cenną zawartością, gdy w godzinę później, schodząc ścieżką, spostrzegliśmy opodal czarną plamę. Zdażyliśmy ku Czarnemu Stawowi, a świt już walczył

z ciemnością. Podjęliśmy ją — torbę — uradowani, a niebawem dobyliśmy resztę rzeczy z wczorajszego ukrycia.

Nad Czarnym Stawem jedliśmy śniadanie, o jakim nie marzył mieszkaniec równiny. Szebrały nam fale jeziora, uśmiechało się wstające słońce, witały nas do-



fot. J. Sztelnbokówna.

DOLINA KOSCIELISKA.

liny w srebrnych mgłach spowite. Niebawem przybyliśmy do schroniska, a śpieszący już w góry turyści patrzyli na nas zdziwieni.

*

Lecz o najcudniejszej z moich nocy górskich nie śmiały marzyć dziecinne rojenia.

Była to noc samotna.

Ostatniego lata nie przyniosłam ze sobą zwykłego zapasu sił. Przyczyniły się do tego troski o zdrowie i spokój najbliższych mi osób, a potem długie wyczekiwanie decyzji wyjazdu w góry, nie poprzedzone, jak zwykle, wywczasem na wsi.

To też na pierwszej wycieczce męczyło mnie nie tylko wspinanie się pod górę, i skupianie uwagi, lecz i wesołe towarzystwo.

Pięłam się niechętnie ku Grani Kościelca, ciągnięta przez towarzyszy i oglądałam się z zazdrością ku dolinie. Na zielonej murawie wygrzewała się gromadka leniuchów. Przybyli tu z derkami i kociółkiem, nie marząc nawet o zdobywaniu szczytów. Śmiech ich swawolny budził zazdrość w mojej sennej myśli.

Wysilek znieczulał we mnie wrażliwość na piękno górskie, a ja bałam się, że nie potrafię się niem tak cieszyć. I zapragnęłam być sama, by w skupieniu zbudzić w sobie dawne dla gór uwielbienie.

Jakoż zdarzyło się, że rozstawszy się z towarzyszami, i dążąc do Popradzkiego pod opiekę czekających tam turystów, rozporządzałam sobą przez dzień i noc jedną. Przygodnie spotkani znajomi, idący ku Niewcyrce, towarzyszyli mi do szataśu w Ciemnosmreczynach. Stamtąd, żegnana śpiewkami, podążyłam sama Chlińską doliną. Nie zdradzałam się przed nikim, że nie mam wcale zamiaru przybyć tegoż dnia do Popradzkiego, bojąc się, by mi kto planów nie popsuł. Zamierzałam iść doliną, nie spiesząc się, i zatrzymać się na noc wtedy, gdy mi zmrok przed oczyma ścięzkę zasłoni.

To też znalazłszy się sama w Smreczyńskiej puszczy, rzuciłam się na kępy mchu, wsłuchiwałam się w szum lasu i z rozkoszą powtarzałam sobie, że sama. A potem, idąc ścięzką w złotych blaskach zachodu, dzieliłam się tą myślą z każdym kwiatem i drzewem. I witałam w sobie zbudzoną siłę zachwyty, a nic i nikt moich myśli nie mącił.

Tak przebyłam całą dolinę i zatrzymałam się w jej końcu, otoczonym murem szczytów. Las zostawiłam daleko poza sobą.

Gasił pogodny wieczór i zapowiadał noc ciepłą. Nie groziło mi nic od natury, a i ludzkiej istoty nie było wokoło. Z Zaworów już

widzieliśmy juhasów wracających z bydłem ku halom.

Wyszukałam dogodne miejsce, zasłonięte od wiatru, narwałam sporą ilość trawy na posłanie i zabrałam się do posiłku. I to była najprzykrzejsza chwila — kłaść w usta jedzenie, nie widząc przy sobie ludzkiej twarzy, nie mogąc się ożywić rozmową...

Lecz znów wróciła cicha radość. Noc rozsiała na niebie miliony gwiazd. Otulona w płaszcz gumowy, z nogami w worku, przymknęłam do snu powieki. Dzwoniącą ciszę przerywał tylko wiatr, co szarpał się w górze na ostrych wierchołkach. I choć mnie sen wkrótce zmorzył, w zamkniętych oczach błyszczały mi gwiazdy, w uszach dzwoniła cisza. A myśl półprzypadkowa śniła o szczytach.

Nagle zbudził mnie huk straszny.

Ryczała gdzieś lecąca usypiskiem lawina kamieni, jakby z otwartej rany gór, śmiertelną tkniętą chorobą, dobywał się jęk, skarga na pewność dalekiej zagłady, na znikomość potęgi... I powtarzały ją sobie turnie i wierchy, a serce spłoszone dopóty biło pośpiesznie, aż ucichło tysięczne echo.

I znów zapanowała cisza. Lecz ponowny huk kamieni zmałował na dobre mój spokój i nasunął bezpodstawne przypuszczenia. A nuż się co zdarzy, nuż napłyną chmury, a ja, błądząc we mgle samotna, zasłabnę? albo — nuż niedźwiedź przyjdzie z lasów.

Lecz sen i te myśli zwałczył.

O pewnej godzinie zbudził mnie ostry chłód. Wiatr się odmienił i dmuchał we mnie z nieosłoniętej strony. Niebo zasnuły chmury i spadło kilka kropel deszczu.

Wstałam szukać cieplejszego schronienia i w ciemności nieprzeniknionej obmacywałam głazy. Znalazłam powyżej rodzaj niszki zacisznej i tam już przespałam spokojnie do końca nocy.

I zdziwiło mnie, gdy się zbudziłam, iż po tej długiej nocy wstał przecież dzionek. Przecierałam sennie powieki... W tem zaintrygował mnie szelest, dochodzący z miejsca, gdzie spałam poprzednio i gdzie leżały ukryte pod kamieniami zapasy.

— Pewno niedźwiedź — szepnęłam; jakoż wyrzawszy z kryjówki, dostrzegłam sterczący z poza głazu jakiś brzeżek futrzany. Jakimże wybuchnął śmiechem, gdy na szelest mych kroków wyskoczył spłoszony świstak.

Z Koprowej Wyżniej przełęczą oglądałam wschód słońca. Patrzyłam na skąpane w blasku zielone doliny... Żaden dźwięk nie mącił ciszy poranku.

Wtem zabrzmiał donośny śpiew:

Zielone doliny,
Krasawe dziewczyny.
Dziewczyny zbrzydzały,
Doliny ostaly...

Z Mięguszwoskiej piał się ku przełęczy
góral z dwoma turystami.

— Ej, myślolek, że to chłopak — rzucił
ku mnie, gdyśmy się mijali poniżej. — Samiście,
panno?

Nie było mi miło widzieć ich oczy zdzi-
wione, więc odrzekłam, że moich dopiero co
rzuciła.

Wodą z Hińczowego Stawu zmyłam z oczu
resztki senności. Korzystałam z ostatnich chwil
samotnych i włóczyłam się do południa po do-
linie.

Jednakże w schronisku z radością witałam
znajome twarze.

*

Więc były noce groźne i pełne czaru.
A także i słotne noce, gdy od ulewnego de-
szczu słabo osłaniała nachylona skała, a mgła
nie dozwalała na krok się ruszyć, gdy mało
było zapasów, i uśpionemu towarzyszowi zjada-
ło się szybko należną mu porcję bigosu.

Były i noce gromadnie spędzone, gdy za-
skoczno mgłą grono turystów leżało w szarych
płaszczach, jak stadko owiec uśpione wśród
skał. A coraz to poruszała się któraś szara
kupka, mało różniąca się od kamieni, wyrastała
w postać w kapturze i szukała wygodniejszego
miejsca, układała, klepała kamienie. To znów
dawał się słyszeć okrzyk:

— No, kto mi tam nogi do ust pakuje!

Były też i owe noce wesole, spędzone je-
sienią w schronisku, gdy ustał już ruch tury-
styczny, a z nim obowiązek zachowywania ci-
szy w późnych godzinach. Śpiewało się wtedy
swojskie piosenki, wygrzewając się przy piecyku
wśród rądli, potem biegło się na dwór rzucać
kulami świeżo spadłego śniegu, a wreszcie
w sprzątniętej izbie zaczynały się tany przy
muzyce i śpiewie górala.

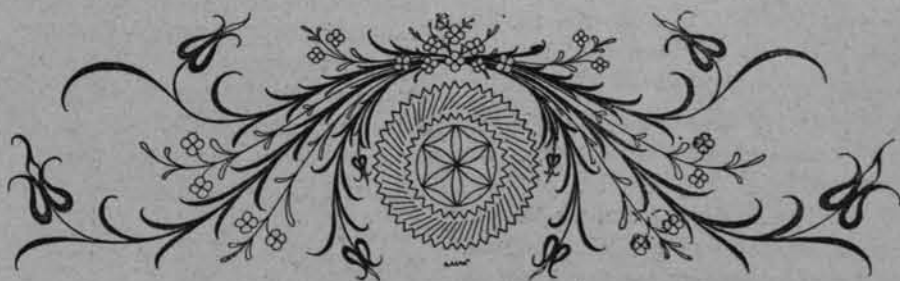
Po trzy dudki dała
Coby tańcowała.
Po trzy dudki wzieni,
Ona stoi w sieni.

I śmiech wesoly rozjaśniał twarze, z oczu
biła promiennosc, a w sercach swoboda budzi-
ła czyste uczucia przyjaźni.

I były noce przeróżne, siłą wrażeń trąca-
jące najwdzięczniejsze struny duszy.

A kto chce je poznać, niech idzie w góry.

Jadwiga Roguska.



ŚMIERĆ Z PRZYSIĘGI.

„Ze tak brzydko pise
Niek Państwo daruje,
Bom chłopiek od pluga,
Często nie pisuje“.

Drzewiej ¹⁾, kie tu jesce popodhale od sa-
mej Osobitej w Orawie ²⁾ az po Spiskom turnie

cerniały się same ino lasy, dopiro ta kanicka ¹⁾ tu
ka teros Zakopane i Koscieliska widno było
małe plaśnie pozwywabiane na polany, hej i role
z lasów; pod reglami nad Zakopanem na jednej
takiej polanie Buńdowka, stały budynki Maćka
Samka hrube, mrażnica ²⁾ a w niej co noc zimą
pobekowało po seśdziesiąt owiec dojek; do nik

¹⁾ Bardzo dawno.

²⁾ Góry Murań i Hawrań.

¹⁾ Gdzieniegdzie.

²⁾ Koszar—ogrodzynieć—ogród.

na kazdom zime przychodził zbójnik Kuba—bez zime przyziorł owce Samkowi hej tak jako trza, a na lato seł w lasy i z towarzysami na zbój, hej. Samkowi przy Kubie wiedło się nieźle, bo Kuba w jesieni przyniósł talar-ków, nasuł Samkowi w kapelus, to beelo na sól i na habryke—ba.

A Kuba był sykowny ¹⁾, umiał mówić i na książce hej jak nic, a na gajdak to grał jaz Bogu miło, to tyz nie ino Samkowie mieli Kube za co, ale i inni gozdowie, i we święta naposiady do niego się schodzili wse. Kościoły były precz, to wtoś, byta beel seł tele dole, hej, ba szli do Kuby, bo przecie uczony. On na święto umojeł jedliną zieloną pięknie w izbie piec, izbe cysto zamiot i było, a sam oblok samkowej białam po pięty kosule, a kie się gazdowie i gaździny poschodzili, stanon przed piecem, wzion książkę do gorzci i śpiewał na głos różne pieśni hej i piosnecki a ludzie za nim, a jak się to nabożeństwo skończyło, to Kuba broł gajdy ²⁾ siadał na ławie i groł, a ludzie tańczyli.

Nieras ta uroczystość u Kuby trwała jaz do wtorku, bo hań u niego niedostał nikt odpustu jak nie przyniósł w zbanku gorzałki, moskala owsianego, kielbase i sperke: hej, ale ta ludzie wiedzieli, to nieśli co wto mog. Casem się ta zaś i pokłopotili, nieras u Kuby po odpuszcie w izbie było z głów włosy dość; hej, bo się tu gazdowie wtedy na goło nie strzygli, nosili długie włosy, huncfuty ³⁾, a bywało ze się ta i poskubli — jeleta do sądów nie seł się skarzyć nik o to.

Hej—na wiosne jak Kuba odchodził w las, to wse samej Samkowej odmierzol płótna na kosule w lesie od jedle do jedle, hej to beel jego ryf ⁴⁾. I Samkom się przy nim wiedło gazdowstwo barz dobrze; dzieci nie mieli zodnyk, a majątek beel: ale moiściewy to tak bywa — wto ma moc, tyn jesse pragnie więcej; to tez i ze Samkiem tak było.

Ponizej hałupy stykoł się jego kawał pola ornego z gruntem Jaśka Jochymka tysego, hej, to tak tam kiesi jesse za ich przodków było pomierzane, że miedza ta sła krzywo, takim bachrem wrzynała się w stajanie Samka, i to go strasnie martwiło, zawse jak wysel na próg hałupy, to się drapał po głowie, a gwarzył:

— Psiedrewno: jak ma iść, to niekby juz prosto sła.

I na tej miedzy dybał siedział, bo coży; Jochymek ani słyseć nie wciol o wyprosceniu pod gronikiem miedzy, bo ta zwyczajnie hłop miol siedmioro dzieci, hej—a tego poleńcia nie moc—to gwarzył:

— To ojczyzna, sprzedać nie sprzedom to za nic w świecie, niek się tam choć po zagonku dzieciom dostanie, i tego im tyroł nie beem hej, ani się sni.

Samek zgrzypiał na to zębami: odorać siełom, bał się Jochymka, bo to był hłop nie bzdura, no y miol za sobą plecy—beel hawiarzem przy dworze Zakopańskim, sąd i dominijo beela w Kuźnicak—nie było rady.

Uh! potrzasał ino przy oraniu pługam Samek, trza cekać, mrucol. Bato dziod—a ja gazda, musę się dockać cy tak cy sak, pierwej on hudy zdechnie, jako ja tłusty wyhudnem. E bo wiera byw nie umar spokojnie, jakby ta miedza miała w moim polu tak krzywo siedzieć. E bo przy-sambogu nie, przysięgał się Samek.

Tak beelo długo; Jochymek zwyczajnie jako hawiarz robił na bani ¹⁾ w Ornaku, w Kościeliskiej dolinie. I jednej zimy na święta Bozego Narodzyna spadły w hałach hrube barz sniegi i hawiarzy zakurzyło tam, ale przecie na święta koniecznie trza było im ześć do hałupy do wsi hej; i we wigilię rano wybrali się z kramu rząddeckem jeden za drugim, było ich seściu. Poderżli w upłazie śnieg, rusyl się ze scytów dołu e zagarnęła ich sytkich lawina, i w doline pod samom Pysnom zwiezła i tu zasuła, tak, co ich dopiero na wiosne ponachodzili—wiera tam między nimi zginon i łysy Jochymek; została po nim jeno wdowa i drobne dzieci, hej sieroty.

Na wiosne wdowa zajęta była posukiwaniem, w miare jak śniegi w dolinie Kościeliskiej przetlewały, swojego hłopa, zatela na Buńdówkach Samek krzywom miedzę w stajaniu wyprościł... Odołał z Jochymkowego gruntu do swego pod dobre półkorca i miedzę krzywom wyprościł.

— Ba! Co mi teros zrobiom—hej dziady; tysego nima, patrz!—Przeciek sie dockoł—gwarzył som do siebie Samek.

Po pogrzebie Jochymka, dopiero się wtedy baba ospatrzała, co Samek zrobił, i niedaj do niego z lamentem:

— O ty bezbożniku—zjadacu—coś mi ty zrobiel? Jako się nie bois Boga; tak nas sieroty skrzywdzić! Pod dobre półkorca nom gruntu

¹⁾ Pracowity—żwawy.

²⁾ Dudy.

³⁾ Warkocze.

⁴⁾ Dawna miara (metr lub lokiec).

¹⁾ W górach przy kopaniu rudy na żelazo.

zabrać!... Byś ty skonać ni mógł—i cyś ty człowiek?... Zamiast ulitować się nad sierotami; to ty nas krzywdzisz... Bodaj ci; po śmierci ziem nawierk swój wyrzuciła... Łakomcu! — to tak idzie miedza—co?

— Tak! wrzasnął Samek. Tak sła miedza prosto za ojca jako i teros idzie — wiesz... idź mię skorż!

— Zaprzysiężes? Tak co byś do roku nie dożył— ty niedowiarku — Hm?

— Idź skorż!... Co byg haw nie zaprzysięż— kie prowda— dopód Samek styk od pługa, i łup cup babe po łbie wyrzucił z obory z krzykiem: Idź skorż! i baba posła z placem do Kuźnic; tam była dominia i sąd— opedziała cysto pieknie, jak i co, tosto komisarz w tym dniu zaros poseł na miejsce zbadać, jako to jest — bota zwyczajnie nieboscyk Jochymek beel robotnik dworski, to się ta i po nim za wdowom hej ujeni; ale co wtodej tu ludzi było rzadko na podhalu, wtota patrzył na cyjom miedzę — hej, cy je prosto, cy krzywa, i świadka obcego nie było, a Samek na miejscu zaprzysięż, ze miedza ta tak jako je dziś, tak sła od dawien dawnia, i on tego roku ani jednej skiby z Jochymkowego pola nie rusył.

— Jezus Maryo! — Krzywoprzysięzca! załamała ręce i skrzyła Jochymka.

— Trudno darmo babo — rzek sędzia — taka jest postanowa ¹⁾, ja ni mogę; on zaprzysięż, a cy krzywo to je jego rzecz; a kiej wis świadków obcyk niema, odsądzić cię musę; i tak zrobił, odsądził wdowe, a przyznał Samkowi, nie było hej rady.

— O bodajeś do roku nie dożył ty zjadacu!... Kłamco!... — krzyła wdowa — nie pomogło to wiera nic — posła z placem do domu, hej.

Jele ta i Samkowi jakosi nie przyniosło to wielkiej radości; nie, i od tego czasu szczęście mu się obróciło ogonem do lasa; Kube w Lupowie na Węgrach tego samego lata złapali i powiesili, juz na zime nie przysył i talarów ²⁾ nie było; wilki mu owce zaryły, a on som chodzył jak struty, bo go sumienie dudzielo ³⁾, hej nie dało mu spokoju.

W następnym roku zrobiła się wiesna wcześnie, bo juz w małym maju ⁴⁾, maradzik z za hof rusył ⁵⁾ i śniegi stopieł, ludzie po polanak orali,

sadzili grule i owies siali; wyjechał też ze swoim pługiem i Samek na stajanie pod ogród i orał — ale jakosi mu nie szło: to hnet kliny się od trzusa wysuły — to skiba się napowrót wracało: mało co musiał stoć i naprawiać; tu juz i juczyna, a on jeszcze mało co uoroł — beel sam na się zły i cegosi barz smutny, bo dzień beel piękny a tu w jego robocie mało znać beelo, a jak posporzył końmi, to mu zaś pług nawierk wyrzucalo — i cofoj.

Ku południu od Orawy zawaleta się nara niebo chmurami, wiaterek od nich powstał ostry a zimny co cud, ciał prosto w ocy ziemię ze zagona, a chmury od Orawy z zochodu jechały na nim prędko na wschód, z takim szumem i harkotem, jakoby się w nich tysiące niedzwiedzi i wilków zaryło; noc, ćma, śnieg, grad deszcz, to syćko się z niej naraz sypało... Widział to Samek, jak prędko się ta zawierucha zbliża — opiałino na sobie kozuch powrosłem i jechał skibom dalej — kieby ino obródzić i uciekać w dom, rzek i na konie pokrzyknął:

— Wio stary — wio, oba wroz — śporzej — Wio!

Konie posporzyły, a w tym lemieśem pługa hurkło o skałę starej, dawnej, krzywej miedzy, a pod niom cosig jakby sto łańcuchów zezbercało, i pług na wierk wyruciło. Samkowi ręce po nogach pługa zeslizły, i konie z pługiem co mogły wyskoczyć poszły do obory w dom, a Samek został na miejscu.

— He tu staro miedzo i wanta, a pod niom zbójnicy piniądze se schowali — poczuj... rzek Samek — dopod do rąk styk, klęknął nad miedzom i poczał kopać — wyjmę, nik nie widzi, kiej taka idzie kra — to wezne... Wiaterek tu i śnieg, zrobiela się istna noc, ka wto seł, robił — a przedtem nie skrył się w hałupie, musiał stać na miejscu. Wiaterek łamał i z korzynom kopertol najstarse jedle i smreki; i nigdy zoden wiaterek halny dotąd w lasach na dolinie Podhala tyle szkód i płasni nagich nie porobił, co tyn w tej, a to nietrwało długo, hej — moze z poł kwadransa godziny, przejechało tak ku Węgrom na Spis, i zas się ozgajdało ¹⁾.

Stonko ciepłymi promieniami swemi hnet zliżało poprusone śniegi i potym moze w jakim godzinie ludzie znów wyjeżdżali z pługami orać na pola i siać, ino jeden Samek nie wrócił, tyn leżał na starej miedzy bez dusy — carny jak węgiel, ubranie na nim i całe ciało jego zdarte, jakoby dziobami i pazdorami halnych sępów i orłów, albo wołów rogami sprute.

¹⁾ Pogoda się zrobiła — wypogodziło się.

¹⁾ Ustawa.

²⁾ Pieniędzy.

³⁾ Gryzło.

⁴⁾ Kwiecień.

⁵⁾ Wiatr ciepły halny z południa.



RODZINA ANDRZEJA SULEI, GÓRAŁA-PISARZA Z BYSTREGO.

fot. M. Mierczyńska

Na krzyk Samkowej zlatywali się ludzie ze wsąd—przysła tyz i z pod gronika Jochymka z dziecmi, załamała ręce z płacem i rzekła: Jezusie Nazareński—tyś nierychliwy, aleś sprawiedliwy—ja mu juz syćko daruję—nie karz go za to. Ku niej skoczyła Samkowa, wróciła jej zabrany grunt i przeprosiła.

Nie modlił się ta za nim wiera nik—pokiwali ludzie głowami, a odchodzący gwarzyli: „To śmierć z przysięgi, bo tu widno kore boskom i ocywistom cartowskiom robote; on niegodzien leżeć ani na święconej ziemi bez to, ze beel łakomy“.

I tak się też i stało... Tyn brzyzek co dzis widzimy na nim stoć w Zokopanem stary kościół drewniany „Nawieś“, to beł Samków cały i tu go przywieźli; cygani wykopali

dół i tu go pocho-wali, ale na rano ziem go nawierk ze siebie wyrzuciła, i to tego jaz trzy razy beelo: co we dnie go zagrzebli cygani, to Samek drugi dzień rano na wierchu... Dopiero Samkowa obiecała cały tyn brzyzek pod kościół hej, ofiarowała, a na grobie jego murywaną kaplicę postawić przyrzekła; wte-dej dopiera ziem wyrzucać na wierk przestała Samka.

Ale hej i Samkowa tes słowa ściśle dotrzymała, bo juz widziała ze z Panem Bogiem w dyrdy chodzić bieda, tozto na je-sień murowana ka-

plica na grobie stanęła... Brzyzek też cały pod kościół oddała rzetelnie, a jak Zakopane się juz lepiej zaludniło, to też i kościółek przy kaplicy z drzewa gazdowie se hej po-budowali i mająm.

Tak wej to tu drzewiej moiściewy pod holami różnie się ludziom trafiało — ale teros to ta juz widzem i ty przysięgi jakosi postabyły, ino Ponjehus je som ten stary co i drzewiej beel; ino ty ta krzywdź kogo, a krzywo przysięgaj—ty mu ta nie ucieknies nika. On dobrze o tym wie, ze On cie się docka ¹⁾. Ej ba wiera — hej.... To On ci tam juz jesce z lichwom, coś hej tu nabrojeł—zapłaci—choć ta i pockos... No.

Andrzej Suleja.

¹⁾ Doczeka się.



ŻÓŁTE TURNIE.

Nieraz podczas samotnych—a tak pełnych uroku wycieczek tatrzańskich, gdy po trudach turystycznych z prawdziwą rozkoszą wypoczywało się na miękkim barwnym kobiercu Hali Gąsienicowej, lub nad zwierciadlaną głębią Czarnego Stawu—gdy na duszę splaywał kojąco jakiś nieziemski spokój, a wzrok pieścił się cudowną grą barw kąpiącego się w złotych potokach słońca górskiego krajobrazu... Niemiłym zgrzytem kilkakrotnie obito mi się o uszy fałszywe tłumaczenie i spieranie się wracających ze spaceru różnych pseudo - przyrodników o pochodzenie nazwy szczytu, już z Zakopanego wyraźnie widocznego w kształcie dość prawidłowej piramidy, wznoszącej się ku północnemu wschodowi nad Czarnym Stawem pod Kościelcem. Szczyt ten z powodu przeważającej barwy żółtej nosi nazwę Żółtej Turni. Dlaczego Turnia jest żółta? Jeden dowodzi, że są tam pokłady „żółtych piritów“, drugi prawi o warstewkach siarki, pochodzącej z wulkanów obecnie wygasłych (bo to przecież i ś. p. Karłowicz zginął w kraterze wygasłego wulkanu!). Słuchanie takich bredni nie może chyba być obojętne dla prawdziwych miłośników Tatr. Niechże mi wolno będzie na łamach „Ziemi“ w skromnej krótkiej notatce zaznaczyć szerszy ogół z prawdziwym pochodzeniem tej nazwy.

Śród licznych porostów skalnych w Tatrach wszechwładnie panuje na Żółtej Turni jeden gatunek — *Acarospora chlorophana*. Rozsiadłszy się w bardzo licznych koloniach po stromych urwiskach kwarcytowych skał, tworzy on ogromne plamy jasno-żółtego koloru. Barwa ta przezycięża wszystkie inne—stąd pochodzi nazwa Żółtej Turni.

Acarospora chlorophana występuje także i na innych szczytach: na granitowych i kwarcytowych złomach Tatr, obok całego szeregu gatunków porostów skalnych np. *Rhizocarpon viridiatrum*, *Lucidea tumida*, *Lecanora glaucoma*, *Sporastalia cinerea* i innych, spotykamy często jaskrawo żółte plamki gatunku *Acarospora chlorophana*, lecz już w bardzo nie-

licznych koloniach, ustępujących miejsca innym porostom. Nie można jednak pominąć zupełnym milczeniem tak ogromnie oryginalnej budowy porostów skalnych, ciekawej nie tylko dla przyrodnika. Każdy taki mieszkaniec skał składa się z dwóch osobników, zupełnie różniących się budową morfologiczną, tymczasem fizjologicznie stanowią one jedną istotę, mianowicie: grzyb wchodzi w symbiozę z wodorostem (glo-nem), t. j. oba wspólnie dalej żyją i rozrastają się.

Grzyb nadaje kształt porostowi, okrywa glony, ułożone warstwami pod powierzchnią grzybni, dostarcza im składników mineralnych i wody, glony zaś wytwarzają z powietrza substancje organiczne, których grzyb, jako pozbawiony chlorofilu, nie może dostarczać; jednym słowem obie współżyjące istoty wzajemnie sobie dopomagają i ze współżycia ciągną wspólne korzyści, przyczem grzyb spełnia obowiązki korzeni i łodygi, a wodorosty (glony) z dobrym skutkiem pełnią funkcje liści. Gdy w poroście dojrzeją zarodniki, rozsypują się one po skałach i w sprzyjających warunkach zaczynają kiełkować, wypuszczają nitki, które pełzając po skałach napotykają samotne glony, przyniesione przez wiatr, oplatają je, wiążą i po upływie pewnego czasu grzyb się rozrasta, glony mnożą się przez dzielenie się komórek i tak powstaje nowa kolonia porostów skalnych. Wymienione wyżej gatunki porostów zamieszkują skały niezwierteżale, lub świeżo odłupane. Z chwilą gdy skała zwierteżaje, występuje na niej cały szereg nowych gatunków porostów, z których najwięcej pospolite są: *Rhizocarpon geographicum*, *Catillaria Hohstetteri*, *Lucidea confluens*, *Lecanora badia*, *Lecanora cenisia* i inne.

Na zakończenie niech mi wolno będzie zaznaczyć, że nie mogąc w krótkiej notatce traktować porostów skalnych wyczerpująco i ściśle naukowo, odsyłam interesujących się poważniej tą kwestią do źródłowych prac naszych i obcych przyrodników. Najwięcej w tym zakresie prac ogłoszono drukiem w języku niemieckim.

Stanisław Płoński.



GIMNAZYUM W ZAKOPANEM.

Już od szeregu lat mówi się w Galicyi głośno o potrzebie założenia jakiejś szkoły średniej, któraby dawała to, co dają szkoły rządowe, a równocześnie stała na wysokości najnowszych wymagań higieny i estetyki, któraby kształciła rozum a przytem dbała także jak najusilniej o fizyczny rozwój wychowanka.

Podtrzymywać w dziecku żywą radość życia, uchronić wrażliwy system nerwowy od szkodliwych wstrząśnień, od chorobliwego naprężenia, rozwinąć harmonijnie kulturę głowy i kulturę serca, strzedz organizm od szkód na zdrowiu i wspierać troskliwie wzrost sił fizycznych, uczynić dziecko zdolnym i przygotowanym do życia we właściwym tego słowa znaczeniu — oto główne wytyczne reformatorskich dążeń na polu wychowania publicznego.

W licznych artykułach, które tą sprawę omawiały, wymieniano Zakopane, jako miejscowość nadającą się szczególnie na siedzibę takiej szkoły. Zdrowa okolica, przepyszna panorama gór współdziałałyby skutecznie z pracą wychowawców, i gdyby zdrowa idea inicjatorów została skutecznie poparta przez nasze społeczeństwo, kto wie, czy Zakopane w dziejach naszego szkolnictwa nie stałoby się drugim Krzemieńcem. Te marzenia snuto już niejednokrotnie, ale wszystkie odnośne projekty, choć piękne i godne poparcia, rozbiły się dotąd o niechęć miarodajnych czynników i obojętność publiczną.

Myśl ta przybiera nareszcie kształty realne. Oto grono obywateli w Zakopanem przy współudziale inteligencji pozamiejscowej zawiązało Towarzystwo, ukonstytuowało się w wydział, a otwierając z dniem 1 września 1912 roku w Zakopanem gimnazjum realne z internatem, projekty usiłuje w życie wprowadzić.

Podstawą programu nauki w projektowanym zakładzie naukowo-wychowawczym będzie plan galicyjskich gimnazyów realnych, rozszerzony przez nau-

kę języków nowożytnych, rysunki, muzykę, a dla wychowanków z Królestwa Polskiego wprowadzona będzie nauka języka i literatury rosyjskiej. Po wyczerpaniu materiału, objętego tak rozszerzonym planem, wychowanek będzie mógł składać albo egzamin dojrzałości z gimnazjum realnego albo po uzupełnieniu materiału z języka greckiego (który będzie przedmiotem nadobowiązkowym) maturę z gimnazjum klasycznego.

Profesorami będą ludzie z pełnemi kwalifikacyami, ożywieni szczerą ochotą pracy nad młodzieżą i postawienia zakładu na możliwie najwyższym poziomie naukowo-wychowawczym.

Zakład będzie pozostawał pod ciągłą opieką lekarską, a nad wychowaniem fizycznym będzie czuwał fachowy w tym kierunku nauczyciel. Przez otwarcie internatu dla wychowanków, zakład będzie w stanie zapobiedz wszelkim ujemnym wpływom, które po części pochodząc z nieodpowiedniego nadzoru domowego, jak również ze złe dobranego towarzystwa, pracę szkoły paczą i niweczą.

Kierownictwo zakładu jak i internatu oddano prof. dr. B. Gofronowi, a nazwisko jego daje rękojmię, że gimnazjum zakopiańskie odpowie godnie wszystkim nadziejom, jakie z tą szkołą łączymy. Dr. B. Gofron zapoznał się w pierwszorzędnym centrum zagranicznych z wymaganiami najnowszej pedagogiki, a łącząc fachową wiedzę z zapalem zdola gimnazjum zakopiańskie postawić na odpowiedniej wyżynie.

Z nadchodzącym rokiem szkolnym, t. j. dnia 1 września, będą otwarte klasa I i II, które z każdym rokiem będą postępowały naprzód. W zakresie klas wyższych, a zatem od klasy III do VIII, będą w zakładzie urządzone kursa przygotowawcze, a uczniowie tych kursów mogą być umieszczeni w internacie.

Zgłoszenia przyjmuje i bliższych informacji udziela dr. B. Gofron, Zakopane, willa „Szarotka“



TREŚĆ: Wiktor Kuźniar—Szkic fizyograficzny Tatr. Józef Kantor—Lud Podhala. Margusz Zaruski—Tatry w zimie. Kazimierz Nitsch—Gwara podhalańska. Ignacy Baranowski—Z przeszłości Podhala. Franciszek Kantor—Pies i wilk. Jadwiga Roguska—Noce górskie. Andrzej Suleja—Śmierć z przysięgi. Stanisław Płon-ski—Żółte turnie. Gimnazjum w Zakopanem. 24 ilustracyi.

Winiętą tytułową i ozdoby w tekście (motywy podhalańskie) rysował Mikołaj Wisznicki. — Odbito w tłoczni A. Pęczalskiego i K. Marszałkowskiego. — Składał i łątał Ignacy Poniatowski. — Odbijał na maszynie Jan Janczak. — Kłisze wykonano w zakładzie B. Wierzbickiego i S-ki. — Papier krajowy z fabryki A. Moesa w Pilicy.

Redaktor i Wydawca Kazimierz Kulwieć.